

Ural

Pasma: Ural

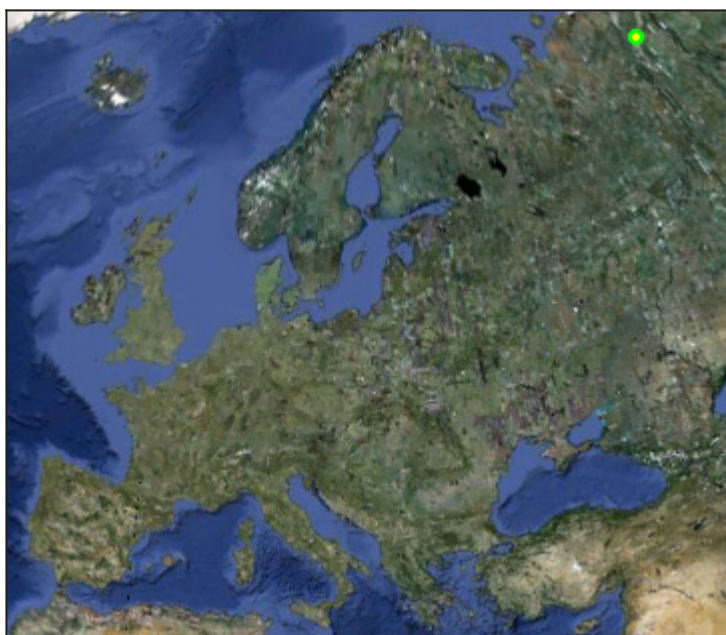
Państwa: Rosja

Najwyższy szczyt: Narodnaja

Wysokość: 1894 m. n.p.m.

Miejscowość: Inta, Kożym

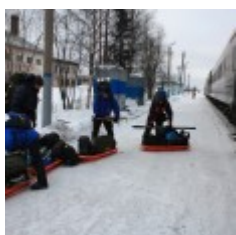
Szacowany czas: Od kilku dni do kilku tygodni

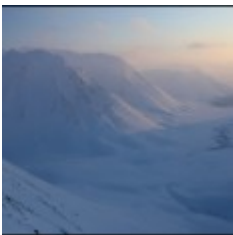


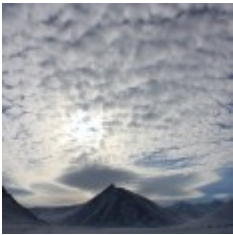
Wejść na najwyższą górę Uralu jest łatwo. Trudniej się pod nią dostać. Od najbliższej stacji dzieli ją 150 km tajgi, tundry i niezamieszkanych terenów górskich. Istnieje jednak wygodna, lecz kosztowna opcja skrócenia wędrówki o połowę drogi. Kontaktując się z władzami parku można zamówić transport specjalną ciężarówką. Dojechać nią można do brodu na rzece Kożym. Ta rzeka potrafi latem przy dużym stanie wody sprawić spory kłopot. Pewnie za odpowiednią cenę albo ewentualnie na stopa można się dostać pojazdem do samej kopalni. A stąd już tylko 25 km do szczytu. Latem podczas wędrówki uciążliwa wysoka temperatura i chmary komarów. W górach z kolei trzeba być przygotowanym nawet na przymrozki. My zdecydowaliśmy się przebyć tę trasę zimą. Nie mieliśmy wątpliwości co do temperatur i nie mieliśmy kłopotu z

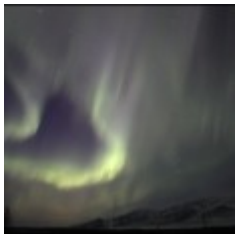
komarami.

Galeria













Relacja

Cel – Narodnaja (1894 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – marzec 2011

Kto – Dziku & Maciek & Łukasz & Madzia

Przyszedł taki czas, kiedy postanowiłem zdobyć **najwyższą górę masywu Urał – Narodną**. Góra ta uważana jest również za najwyższy szczyt europejskiej części Rosji, więc byłby to kolejny diament do mojej Korony Europy. Jedyne, co mnie zniechęcało to informacje o potwornych ilościach komarów, jakie czyhają tam na turystów. Co zrobić żeby uniknąć komarów, ale jednocześnie zdobyć szczyt? Stwierdziłem, że zamiast kupować skrzynki środków na insekty można np. pojechać na Urał zimą.

Mimo dosyć ambitnego planu nie było najmniejszych trudności ze znalezieniem towarzyszy podróży. Ostatecznie 4-osobową grupę szturmową oprócz mnie, czyli Dzika stworzyli: Madzia, Łukasz i Maciek.

Ponieważ przedsięwzięcie różniło się od wszystkiego, co dotychczas robiliśmy przygotowania trwały bardzo długo. Do jednych z ważniejszych różnic należało to, że musieliśmy się przygotować do przebywania tygodniami w ujemnych temperaturach, i co za tym idzie zakupić sporo profesjonalnego sprzętu. Inną, zupełnie nową dla nas kwestią było to, że chcieliśmy połączyć naszą wyprawę z wyższym niż sama góra celem. Tym celem miało być uświadamianie społeczeństwa w jak złej sytuacji znajdują się w Polsce chorzy na Stwardnienie Rozsiane. Są to dziesiątki tysięcy ludzi najczęściej zdanych wyłącznie na siebie i swoich bliskich. Pomoc oferowana przez państwo oceniana jest przez międzynarodowe organizacje jednoznacznie: Polska w rankingu obejmującym 29 europejskich państw znajduje się na przedostatnim miejscu. Stąd pytanie i jednocześnie hasło naszej wyprawy.

Zapraszam do przeczytania relacji z zimowej wyprawy po

najwyższy szczyt Uralu, czyli:

„CO ROBIAŁ POLACY NA KOŃCU EUROPY?”

27 II 2011

O godz. 16:20 wyjeżdżamy pociągiem z Wrocławia do Lwowa. Grupa przyjaciół nie tylko odprowadziła nas na stację, ale nosiła razem z nami ogromne ilości bagaży. Kiedy złożyliśmy to wszystko w naszym przedziale okazało się, że dla nas nie ma już miejsca. Staliśmy więc w korytarzu i próbowaliśmy obmyślić taktykę. Od momentu odjazdu przez następne parę godzin było przepakowywanie się i próby znalezienia wygodnej pozycji do odpoczynku. Udaje nam się wygospodarować pewne minimum miejsca żebyśmy mogli wejść do przedziału, ale wokół nas jest „Oszukać przeznaczenie 5”. Nad głowami kolebią się plecaki z czekanami, łopata i siekiera. W pewnym momencie z grzejnika zsuwa się narta i krawędzią spada mi na palce u bosej stopy. Często przed wyjazdem żartowałem, że może po powrocie nie będę miał wszystkich palców, ale że jednego z nich stracę już za Oławą?! No dobra, palec ocalał, ale losy paznokcia będą ważyły się jeszcze długo po powrocie.

28 II 2011

We Lwowie jesteśmy punktualnie. I od razu dobra wiadomość – pociąg do Moskwy odchodzi z tego samego peronu, więc odpada noszenie bagaży. Jednak karkołomna operacja załadowania się do wagonu typu placart nas nie ominęła. 1 osoba stoi przy bagażu znajdującym się na peronie, 1 układa bagaż w wagonie, 2 osoby na zmianę biegają z ważącymi do 35 kg pakunkami.

Podróż minęła szybko. Dobę później jesteśmy w Moskwie.

01 III 2011

Stoimy na jednym z peronów Dworca Kijowskiego w Moskwie. Wynajmujemy wózkowego, który przejmuje kilka sztuk bagażu. Resztę na plecy, na klatę, w ręce, w zęby, kto gdzie może i idziemy przed dworzec. Za 1000 rubli wynajmujemy busa i jedziemy na dworzec Jarosławski. A tam... znowu wózek i do

poczekalni. Kiedy przechodzimy przez bramki do wykrywania metali wszystko piszczy ale z niewiadomych przyczyn wg ochroniarzy nie wzbudzamy podejrzeń. Pozwalają przejść i nie są zainteresowani żadnym z naszych plecaków. Mamy tu cały dzień czekania, więc dzielimy się na dwójki i kiedy jedna para robi zwiady po okolicy, druga w tym czasie pilnuje bagażu. Niedaleko dworca znajdujemy dobrą i stosunkowo niedrogą stołówkę. W końcu jemy normalny obiad. A nawet na wszelki wypadek dwa. Widzimy, że przy kilku stolikach do obiadu zamówiono butelkę wódki. Na zwrócenie uwagi zasługiwał również labirynt, jaki prowadzi do toalety. Ruszyłem po strzałkach. Wchodzę w kolejne korytarze, widzę kuchnię z obsługą, przechodzę koło pani, która obiera ziemniaki, w kolejnym pomieszczeniu ktoś zmywa naczynia – źle skręciłem, wracam do strzałek. Po paru zakrętach ślepy zaułek i biuro z komputerem. Tu już zaprowadziła mnie ciekawość, bo toaletę zobaczyłem chwilę wcześniej – obok drzwi z napisem „dyrektor”. Po południu znów zawitamy z Maćkiem na tę stołówkę, i znów zmierzę się z labiryntem. Jednak nie uda mi się go po raz drugi – tym razem po ciemku – pokonać. Widocznie toaleta jest czynna wtedy, gdy w pracy jest dyrektor.

W Moskwie mamy do spełnienia jedną trudną misję – chcemy zatankować do kanistrów benzynę do naszych maszynek do gotowania. Jednak szczegóły i perypetie związane z operacją „jak przejechać 2 tys. km przez Rosję wioząc petardy na niedźwiedzie oraz 30 litrów benzyny ” lepiej przemilczę. Warto jednak napisać o całej akcji związanej z załadunkiem do pociągu. O tym, z którego peronu on odjeżdża dowiedzieliśmy się dopiero na 25 minut przed jego odjazdem. Jakby tego było mało, „prowadnica” nie chciała zaakceptować naszych wydrukowanych w domu biletów. I wtedy zaczęła się jazda na całego. Po raz pierwszy od momentu wyjazdu cała grupa jest w rozsypce. Ja siedzę w poczekalni przy bagażach. Coraz bardziej zaniepokojony zerkam na zegar. Nie wiem kompletnie, co jest grane. W tym czasie Madzia czeka z benzyną na peronie ale do pociągu wsiąść nie może z powodu „lewych” biletów. Łukasz biega za wózkowymi a Maciek próbuje przekonać ludzi w kolejce

do kasy, że powinni go wpuścić bo ucieknie mu pociąg, na który notabene od 10h grzecznie czekał. Szaleństwo trwa przez następne 20 minut. Ja przerzucam 200 kg bagażu przez barierki poczekalni, pomaga mi w tym jakiś dziadek. Łukasz to odbiera i co się da to próbuje załadować na wózek. Maciek jest w tym czasie odsyłany od kasy do kasy, więc na 10 minut przed odjazdem pociągu wciąż tłumaczy ludziom w kolejnych ogonkach, że musi pilnie bilety wymienić. W końcu rozpoczął się szaleńczy bieg. Do przebycia mieliśmy całą długość peronu (nasz wagon był 2-gi z 20-tu!!!). Na prowadzenie najpierw wysunął się wózkowy, ale kółko mu podskoczyło na nierówności i z wózka spadła torba a za nią komplet pulek z nartami. Dobiega do niego Łukasz z torbą i plecakiem, zaraz potem pojawia się wielki wór i ja – niewiele większy od wora. Nagle przebiega koło nas Maciek wymachując biletami. A Madzia... wciąż pilnowała na peronie benzyny. Jej nadzieja na to, że nam się uda, zaczęła już wygasać. I wtedy zobaczyła biegnący z odsieczą konwój! Jeszcze szybka kontrola paszportowa przed drzwiami wagonu i zaczynam się przepychać z pierwszą partią bagaży do naszych miejsc, oczywiście... na drugim końcu wagonu, który jest już pełen ludzi, toreb, kartonów. Kiedy czekam na towarzyszy i resztę naszego dobytku uświadamiam sobie, że pociąg już ruszył. A ja nawet nie wiem czy reszta zdążyła z tym całym bajzłem wsiaść. Nagle zaczęły do mnie ocierać kolejne torby, plecaki. Okazało się, że ludzie w wagonie postanowili pomóc i podawali je sobie z rąk do rąk. Nareszcie pojawia się reszta ekipy. Okazuje się, że nikt i nic nie zostało na peronie.

2 III 2011

Budzę się przed 22-gą z czerwonymi i spuchniętymi oczami. A mówił Sasza żeby nie pić piwa po wódce. Teraz mnie łeb boli. Ale było całkiem miło. Krótkie wyjaśnienie – popołudniu wpadł do naszego boksu Sasza – Białorusin jadący na azjatycką stronę Uralu. Chciał się zintegrować, a ponieważ był bardzo miły i twierdził, że ma właśnie tego dnia urodziny nie mogliśmy mu odmówić. Poczęstował nas litrem wódki i zakąską w postaci pysznego chleba, słoniny i oliwek. W takiej atmosferze podróż

szybko mija. Nawet, jeśli trwa kilka dni.

Powoli dojeżdżamy do Inty, a temperatura na zewnątrz wynosi jedynie -6! Maciek podsumowuje: „Stary, pod Śnieżką by nas teraz wypizgało a tu co? -6?! Jestem zdołowany...”

3 III 2011

Rano, po 36 godzinach jazdy pociągiem wysiadamy w Incie. Meldujemy się na dworcowym posterunku policji i wymieniamy się z nimi numerami telefonów. Zapewniają nas, że jeśli nie wrócimy za 3 tygodnie to będą nas szukać. Ogólnie miłe przyjęcie.

Dzięki temu, że mamy ze sobą wszystkie niezbędne rzeczy możemy praktycznie od stacji od razu ruszyć w kierunku gór. Ale nie do końca! Wpadamy jeszcze do sklepu po artykuły z „zestawu Saszy”, czyli po wódkę i słoninę. Dopiero teraz jesteśmy w pełni gotowi do wymarszu.

Początkowy, 5 km etap jest mało atrakcyjny – ubity, rozjeżdżony śnieg, kamienie i pełno ciężarówek. Ale po minięciu ostatniego skrzyżowania zostajemy tylko my i nasze pulki. Teraz zaczyna się prawdziwa walka. Droga jest wprawdzie dobrze widoczna, ale jest też przysypana śniegiem. Przeładowane pulki co kilka kroków przewracają się. Grzęźniemy w zaspach. Po prostu mordęga. Przechodzimy w tych warunkach jeszcze z 10 km. Namiot rozbijamy w lesie kilkanaście metrów od drogi. Podczas rozbijania namiotu zapadamy się w głębokich zaspach, to tak na dokładkę do wysiłku z całego dnia.

4 III 2011

Następnego dnia od nowa, krok po krocisku, metr po metrze do przodu. Walczymy w ten sposób do wieczora i urywamy kolejne 15 km. W tym tempie to za jakiś tydzień dojdziemy na Narodnaja i natychmiast trzeba będzie wracać. Rozwiązanie pojawiło się samo. Zaświeciło z daleka potężnymi reflektorami i rozbiło swoją masą 1,5 metrową zaspę. Nam pokonanie tej zasy zajęło jakieś 15 minut. W ten sposób nadjechała potężna ciężarówka przystosowana do przewozu ludzi. Maciek zagaduje kierowcę, a ten zgadza się nam pomóc. Zwijamy szybko dopiero co rozłożony

namiot i ładujemy się z całym bajzłem do środka. Jesteśmy bardzo głodni i spragnieni. W ciągu dnia zużyliśmy zapasy a teraz, kiedy powinniśmy w namiocie topić śnieg i przygotowywać kolację siedzimy w ciężarówce. Jednak przed wjazdem na płaskowyż nasi rosyjscy wybawcy zatrzymują się na posiłek. Widząc nasz wygłodniały wzrok dzielą się z nami chlebem, wędzonym mięsem i samogonem lanym z 3 litrowej piersiówki. Po paru godzinach jazdy po płaskowyżu dogania nas drugi – znacznie mniejszy, ale i nowocześniejszy pojazd. Kieruje nim dyrektor kopalni, który proponuje, żebyśmy się z nim zabrali. Po kolejnej akcji przeładunkowej pędzimy skacząc po zaspach z prędkością nawet do 30km/h w kierunku gór. Nad ranem docieramy do kopalni. Spać idziemy dopiero o 5 rano. 23 godziny na nogach.

5 III 2011

Dyrektor ulokował nas w eleganckich, ciepłych pokojach z wygodnymi łózkami i czystą pościelą. Możemy nareszcie po tygodniu w podróży wziąć prysznic. Do dyspozycji mamy również czajnik elektryczny, więc nie musimy topić śniegu. Nie nastawialiśmy się na takie udogodnienia w podróży, ale gdy już się natrafiły to tym bardziej je doceniamy. Tym bardziej, że Madzia wyjechała z Polski przeziębiona. Ten epizod z kopalnią pozwolił jej zwalczyć gorączkę i dojść do siebie. Popołudniu, w towarzystwie kopalnianego psa, udajemy się na pobliski szczyt o wysokości 1300 metrów, aby podziwiać zachodzące słońce.

6 III 2011

Przystajemy na propozycję dyrektora i ten wczesnym rankiem podwozi nas kolejne kilkanaście km w stronę Narodnaji. Za wszystko, co dotychczas dla nas zrobił nie chce ani kopiejki. Mówi, że „to u nich normalne”. A zrobił wiele. Dzięki niemu czyści, wypoczęci, a przede wszystkim o tydzień wcześniej niż planowaliśmy wyruszamy by przebyć ostatni odcinek, jaki dzieli nas od szczytu.

Podchodząc kilka godzin mniej lub bardziej stromymi stokami o

godzinie 14:45 wszyscy stajemy na szczycie. Na końcowym podejściu komfortu dodawały raki, gdyż śnieg na stoku był bardzo mocno zmrożony. Praktycznie nie dało się go „ugryźć” nawet krawędzią twardej podeszwy górskiego buta.

Pogoda na szczycie była piękna. Temperatura wprawdzie powoli zbliżała się do -20 stopni, ale suche powietrze i całkowity brak wiatru powodował, że nie była ona tak odczuwalna. Kiedy już nacieszyliśmy się już widokami oglądanymi z najwyższego szczytu Uralu postanowiliśmy schodzić. Zejście było bardzo często przerywane robieniem zdjęć pięknego zachodu słońca. Do kamienia, pod którym „zaparkowane” czekały na nas pulki dotarliśmy już w całkowitych ciemnościach. Miejsce to wcześniej przygotowaliśmy pod namiot, więc teraz rozłożyliśmy sprawnie obóz i odpaliliśmy maszynki. Czas na zasłużony posiłek.

7 III 2011

Kolejnego dnia próbowaliśmy dotrzeć pod Manaragę. Niestety droga, którą wybraliśmy nie była najlepsza. Zatrzymało nas strome zejście kotłem do doliny Manaragi. Masy śniegu, jakie się tam nazbierały oraz ślad po lawinie nie zachęcały do prób zejścia tą drogą. Do tego stanęliśmy jak zahipnotyzowani wpatrując się w dolinę. Wspólnie przyznaliśmy, że przed nami rozpościera się jeden z najpiękniejszych widoków, jakie w życiu widzieliśmy. Postanowiliśmy tu na tej przełęczy z zamarzniętym jeziorkiem rozbić namiot. Podczas rozbijania namiotu stwierdzam odkrywczo, że „robi się zimno”. Rzeczywiście temperatura wtedy spadała już poniżej -20 stopni. Madzia zwróciła uwagę, że z takim podejściem można powiedzieć, że do -20 jest ciepło. Tego wieczoru było jednak zdecydowanie zimno. A w nocy termometr zostawiony na zewnątrz dobił do dna wskazując -30 stopni.

8 III 2011

Eksploracja! Wraz z Maćkiem udajemy się na okoliczne góry. Chcemy poczuć na twarzy wiatr, mróz i po prostu się wyżyć. Madzia i Łukasz zniechęceni wiatrem i słabą widocznością

zostają w namiocie. Wspinamy się na pobliską górę i rozpościera się przed nami płaskowyż. Po prawej stronie, zaledwie kilka kroków od nas płaskowyż urywa się pionową ścianą. Dookoła zawieja i duży mróz. Czasami po płaskim szczycie przetacza się mała trąba powietrzna kręcąca tumanami śniegu. Tego właśnie szukaliśmy. Trochę bólu musi być! Przez następne godziny wędrujemy zataczając łuk wokół kotła. Dochodzimy do miejsca po drugiej stronie i stajemy w miejscu gdzie zaczyna się grań. Wiatr przegania chmurę i dostrzegamy w oddali ciemną plamkę – to nasz namiot. Wracamy do niego tą samą drogą, którą przyszliśmy. Tego dnia wreszcie wyglądaliśmy jak polarnicy – zamrażnięte włosy, oblodzone brwi oraz... szeroko uśmiechnięte mordy.

9 III 2011

Tego dnia przechodzimy w sumie ponad 20 km. Zaczęliśmy od zdobycia jednego z okolicznych szczytów. Był on o tyle wyjątkowy, że widoczna z niego panorama obejmowała całą dolinę Manaragi, okoliczne szczyty i granie, a także samą królową Uralu – Narodnąję.

Potem przyszedł czas na zwinięcie obozu i opuszczenie tego wymarzonego na biwak miejsca. Przechodząc przez kolejne przełęcze dochodzimy do naszego „obozu głównego”, w którym nocowaliśmy po zdobyciu Narodnaji. Zabieramy resztę pozostawionych tu rzeczy i rozpoczynamy marsz w kierunku kopalni. Tuż przed zmrokiem napotykamy inną grupę. Byli to jedyni na tej wyprawie napotkani turyści i... również z Polski! Grupa Azymut Wschód & Przyjaciele dopiero dotarła w góry i właśnie rozbijała obóz. Wymieniliśmy się doświadczeniami i zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie. Potem nasza grupa ruszyła w dalszą drogę. Już po zmroku dotarliśmy do malutkich chatek pasterskich nad Jeziolem Bałbanty. Żadna z nich nie nadawała się na nocleg dla 4 osób, ale w jednej z nich chociaż napaliliśmy w piecu i spożyliśmy kolację. A potem do namiotu.

10 III 2011

Tego dnia przeszliśmy jedynie 10 km, ponieważ postanowiliśmy

się zregenerować i odświeżyć w kopalni a w drogę powrotną ruszyć dnia następnego. Koło 1 w nocy, kiedy siedzieliśmy przy herbach Maciek wyjrzał przez małe okienko. Nagle krzyknął i wybiegł. Mimo wiatru i mrozu wszyscy wyszliśmy na zewnątrz po raz pierwszy podziwiać to piękne zjawisko, jakim jest zorza polarna.

11 III -15 III 2011

Rano opuszczamy kopalnię i zaczynamy ostro maszerować w kierunku Inty. Od dworca dzieli nas 125 km płaskowyżu, tajgi i tundry. Pierwszego dnia przeszliśmy 23 km dochodząc do wiaty nad rzeką. Miejsce na biwak jak malowane. Rozpalamy duże ognisko i smażymy słoninę. Dookoła pełno śladów wilków, ale żaden w nocy nie zawył. Maciek licząc na kolejną zorzę nastawia budzik na 2-gą w nocy. Nie przeliczył się. Stanie przez pół godziny w -30 stopniach zaowocowało zrobionymi przez niego ujęciami niezwykłych, nocnych świateł na niebie. Mimo, że podnieconym głosem próbował nas do tego zachęcić, nikt nie zdecydował się wyjść ze śpiwora żeby mu towarzyszyć.

Następnego dnia znów codzienna ceremonia topienia śniegu na posiłki i herbatę. Dziś chcemy dojść do przeprawy na rzece Kożym. Podobno jest tam chatka, a jak jest chatka to może jest i piec. Dzieli nas od niej 28 km, ale droga jest przetarta i mamy dobre tempo. Po drodze mijamy tereny łowieckie wilków. Świadczą o tym licznie występujące tropy. Kiedy będziemy bliżej rzeki natkniemy się również na ślady dużo potężniejszych zwierząt – łosi. Wokół drogi kilkakrotnie widzimy wyrwy w zaspie, przez którą przebił się łoś. Niestety nie udało nam się zobaczyć żadnego z tych stworzeń.

W pewnym momencie zauważam na drodze coś, co wyraźnie odróżnia się od białej tafli śniegu. Bez wahania podnoszę i pakuję na pulkę bryłę węgla wielkości ludzkiej głowy. Z góry założyłem, że w chatce będzie piec, i że warto to dźwigać przez następne 5 km. Tuż przed całkowitym zmrokiem docieramy do brodu na rzece. Przechodzimy po lodzie i przejmujemy we władanie chatkę położoną nad stromym brzegiem. W środku jest koza! Tzn. taki piec, więc nie targałem węgla na darmo. Rozpalamy ogień i

momentalnie robi się ciepło. Dziś jemy jak ludzie – tzn. rozsiadamy się wokół stołu z ustawioną po środku świecą.

Kolejnego dnia wychodzimy na płaskowyż i licząc po cichu, że uda nam się go przejść całego od początku trzymamy szybkie tempo. Jednak droga prowadząca na wierzchołek wzniesienia sięgającego 640 m. n.p.m. dłuży się niemiłosiernie. Kiedy go osiągamy zerkamy po raz ostatni na majaczące w oddali góry. Z żalem żegnamy się z nimi. Od tej pory maszerujemy w niemal księżycowej scenerii. Płaskowyż ten jest w zimie zupełnie pozbawionym „dekoracji” płaskim terenem. To, co dodaje emocji w monotonnym marszu to piękny zachód słońca. Mimo przebytych 29 km nie udaje nam się dojść do lasu po drugiej stronie wzniesienia. Nocujemy w otwartym terenie.

Nakręcenі coraz dłuższymi pokonywanymi odległościami podświadomie dążymy do ustanowienia kolejnego rekordu. Zapominamy, że jest z nami kobieta, która bez narzekania ciągnie takie same sanie jak my. Teraz, kiedy o tym myślę to dziwię się, że nie dostaliśmy kijkiem po głowie. Ale taki jest już Madzi charakter. Oprócz tego, że ta drobna dziewczyna podejmuje się imponujących wyzwań to cele realizuje do końca z uśmiechem na ustach. Dobra forma całej ekipy powoduje, że tego wieczora docieramy do miejsca naszego pierwszego noclegu. Tym samym przekroczyliśmy magiczną granicę 30 km na dzień.

Ostatnie 15km, jakie dzieliło nas od dworca pokonujemy ostatniego dnia wędrówki już na luzie, bez podkręcania tempa. W pobliżu miasteczka widzimy idącego z naprzeciwka mężczyznę. Na sobie nosił czarne, skórzane ubrania, na nogach wysokie glany a w ręku puszka piwa. Kiedy zbliżamy się do siebie dodatkowo podjeżdża starym autem inny, szczerbaty mężczyzna. Wpierw pytają kim jesteśmy i co tu robimy. Mówimy, że wracamy z gór. Są zaskoczeni, że przeszliśmy taki dystans. Pytają czy dużo zdjęć narobiliśmy. Zaczęliśmy się obawiać, że czyhają na nasze aparaty fotograficzne i poczuliśmy niepokój. Facet w skórach sięgnął pod kurtkę. Wyciągnął czarny, skórzany, nabijany ćwiekami pokrowiec. Czy wyjmie nóż? Nie, za to naszym oczom ukazuje się nowiutki Nikon – oczywiście czarny. Podaje go Madzi, ustawia się koło Łukasza i prosi, żeby zrobić im

zdjęcie. Mężczyzna z samochodu jeszcze nadmienia: „-Też raz kiedyś byłem w górach”. Potem z uśmiechem żegnają nas. Przechodzimy ostatni kilometr i docieramy do punktu wyjścia, czyli do dworca w Incie. Maciek informuje milicjantów o naszym bezpiecznym powrocie, następnie kupujemy bilety i pozostaje już tylko czekać do północy na najbliższy pociąg do Moskwy.

16 III-19 III

W drodze powrotnej czekało nas jeszcze trochę przygód. W pociągu z Inty Madzia musiała się chować przed pijanym Tatarem, który chciał ją porwać do domu i pojąć za żonę. Z niewiadomych względów nasza koleżanka odrzuciła ofertę zamieszkania na Uralu Południowym i posiadania własnego konia. Poza tym mimo zredukowanej ilości bagażu w Moskwie znów czekały nas roszady i bieganie na tury, żeby się przemieścić między dworcami i pociągami. A we Lwowie zgarnął nas do busa sympatyczny Ukraińiec, który pokazał jak sobie umie radzić z miejscową milicją i ukraińskimi strażnikami granicznymi. Lekcje, jakie otrzymaliśmy pozwoliły nam z kolei sprawnie uporać się z polską kontrolą. Dzięki temu częściowo ominęliśmy kolejkę i zyskaliśmy cenne minuty. Na dworzec w Przemyślu przyjeżdżamy dosłownie w ostatniej chwili. Kiedy wrzucamy bagaże z peronu do pociągu przybiega Łukasz z biletami. Wsiadamy i w tym momencie pociąg odjeżdża. Za nami 3 tygodnie niezapomnianych przeżyć, mnóstwo pozytywnych wrażeń i życzliwych ludzi. Aby uczcić przygodę z uśmiechem wychylamy po kieliszku wódki. Wtedy do przedziału zagląda smutny Strażnik Ochrony Kolei i smutnym głosem prosi o dokumenty w celu wypisania mandatu. Jesteśmy w domu!

— END —

Grossglockner i nie tylko

Cel – Grossglockner (3798 m n.p.m.)- zdobyty

Kiedy – kwiecień/maj 2011

Kto – Dziku & Aga & Madzia & Tomek

Dopiero co napisałem zaległą relację a już nastąpiła powtórka. Wejście na Grossglocknera od polskiej strony zakończone sukcesem. Nawet udało się spotkać wśród dziesiątek wspinaczy kilku obcokrajowców...

A potem przejazd do Włoch zamkniętą drogą z powodu zejścia lawiny. No ale od czego się ma łopatę lawinową. Marmolada zdobyta, ale niestety najwyższego punktu Dolomitów czyli Punta Peni we mgle nie odnaleźliśmy. Być może dlatego, że nie do końca zdawaliśmy sobie sprawę z jego istnienia.

Wyjazd zaliczamy do bardzo udanych. Jakżeby inaczej.



Relacja z zimowej wyprawy po najwyższą górę Uralu

Cel – Narodnaja (1894 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – marzec 2011

Kto – Dziku & Maciek & Łukasz & Madzia

Przyszedł taki czas, kiedy postanowiłem zdobyć **najwyższą górę masywu Ural – Narodnąję**. Góra ta uważana jest również za najwyższy szczyt europejskiej części Rosji, więc byłby to kolejny diament do mojej Korony Europy. Jedyne, co mnie zniechęcało to informacje o potwornych ilościach komarów, jakie czyhają tam na turystów. Co zrobić żeby uniknąć komarów, ale jednocześnie zdobyć szczyt? Stwierdziłem, że zamiast kupować skrzynki środków na insekty można np. pojechać na Ural zimą.

Mimo dosyć ambitnego planu nie było najmniejszych trudności ze znalezieniem towarzyszy podróży. Ostatecznie 4-osobową grupę szturmową oprócz mnie, czyli Dzika stworzyli: Madzia, Łukasz i Maciek.

Ponieważ przedsięwzięcie różniło się od wszystkiego, co dotychczas robiliśmy przygotowania trwały bardzo długo. Do jednych z ważniejszych różnic należało to, że musieliśmy się przygotować do przebywania tygodniami w ujemnych temperaturach, i co za tym idzie zakupić sporo profesjonalnego sprzętu. Inną, zupełnie nową dla nas kwestią było to, że chcieliśmy połączyć naszą wyprawę z wyższym niż sama góra celem. Tym celem miało być uświadamianie społeczeństwa w jak złej sytuacji znajdują się w Polsce chorzy na Stwardnienie Rozsiane. Są to dziesiątki tysięcy ludzi najczęściej zdanych wyłącznie na siebie i swoich bliskich. Pomoc oferowana przez państwo oceniana jest przez międzynarodowe organizacje jednoznacznie: Polska w rankingu obejmującym 29 europejskich państw znajduje się na przedostatnim miejscu. Stąd pytanie i

jednocześnie hasło naszej wyprawy.

Zapraszam do przeczytania relacji z zimowej wyprawy po najwyższy szczyt Uralu, czyli:

„CO ROBIAĄ POLACY NA KOŃCU EUROPY?”

27 II 2011

O godz. 16:20 wyjeżdżamy pociągiem z Wrocławia do Lwowa. Grupa przyjaciół nie tylko odprowadziła nas na stację, ale nosiła razem z nami ogromne ilości bagaży. Kiedy złożyliśmy to wszystko w naszym przedziale okazało się, że dla nas nie ma już miejsca. Staliśmy więc w korytarzu i próbowaliśmy obmyślić taktykę. Od momentu odjazdu przez następne parę godzin było przepakowywanie się i próby znalezienia wygodnej pozycji do odpoczynku. Udaje nam się wygospodarować pewne minimum miejsca żebyśmy mogli wejść do przedziału, ale wokół nas jest „0szukać przeznaczenie 5”. Nad głowami kolebią się plecaki z czekanami, łopata i siekierą. W pewnym momencie z grzejnika zsuwa się narta i krawędzią spada mi na palce u bosej stopy. Często przed wyjazdem żartowałem, że może po powrocie nie będę miał wszystkich palców, ale że jednego z nich stracę już za Oławą?! No dobra, palec ocalał, ale losy paznokcia będą ważyły się jeszcze długo po powrocie.

28 II 2011

We Lwowie jesteśmy punktualnie. I od razu dobra wiadomość – pociąg do Moskwy odchodzi z tego samego peronu, więc odpada noszenie bagaży. Jednak karkołomna operacja załadowania się do wagonu typu plackart nas nie ominęła. 1 osoba stoi przy bagażu znajdującym się na peronie, 1 układa bagaż w wagonie, 2 osoby na zmianę biegają z ważącymi do 35 kg pakunkami.

Podróż minęła szybko. Dobę później jesteśmy w Moskwie.

01 III 2011

Stoimy na jednym z peronów Dworca Kijowskiego w Moskwie. Wynajmujemy wózkowego, który przejmuje kilka sztuk bagażu. Resztę na plecy, na klatę, w ręce, w zęby, kto gdzie może i

idziemy przed dworzec. Za 1000 rubli wynajmujemy busa i jedziemy na dworzec Jarosławski. A tam... znowu wózek i do poczekalni. Kiedy przechodzimy przez bramki do wykrywania metali wszystko piszczy ale z niewiadomych przyczyn wg ochroniarzy nie wzbudzamy podejrzeń. Pozwalają przejść i nie są zainteresowani żadnym z naszych plecaków. Mamy tu cały dzień czekania, więc dzielimy się na dwójki i kiedy jedna para robi zwiady po okolicy, druga w tym czasie pilnuje bagażu. Niedaleko dworca znajdujemy dobrą i stosunkowo niedrogą stołówkę. W końcu jemy normalny obiad. A nawet na wszelki wypadek dwa. Widzimy, że przy kilku stolikach do obiadu zamówiono butelkę wódki. Na zwrócenie uwagi zasługiwał również labirynt, jaki prowadził do toalety. Ruszyłem po strzałkach. Wchodzę w kolejne korytarze, widzę kuchnię z obsługą, przechodzę koło pani, która obiera ziemniaki, w kolejnym pomieszczeniu ktoś zmywa naczynia – źle skręciłem, wracam do strzałek. Po paru zakrętach ślepy zaułek i biuro z komputerem. Tu już zaprowadziła mnie ciekawość, bo toaletę zobaczyłem chwilę wcześniej – obok drzwi z napisem „dyrektor”. Po południu znów zawitamy z Maćkiem na tę stołówkę, i znów zmierzę się z labiryntem. Jednak nie uda mi się go po raz drugi – tym razem po ciemku – pokonać. Widocznie toaleta jest czynna wtedy, gdy w pracy jest dyrektor.

W Moskwie mamy do spełnienia jedną trudną misję – chcemy zatankować do kanistrów benzynę do naszych maszynek do gotowania. Jednak szczegóły i perypetie związane z operacją „jak przejechać 2 tys. km przez Rosję wioząc petardy na niedźwiedzie oraz 30 litrów benzyny ” lepiej przemilczę. Warto jednak napisać o całej akcji związanej z załadunkiem do pociągu. O tym, z którego peronu on odjeżdża dowiedzieliśmy się dopiero na 25 minut przed jego odjazdem. Jakby tego było mało, „prowadnica” nie chciała zaakceptować naszych wydrukowanych w domu biletów. I wtedy zaczęła się jazda na całego. Po raz pierwszy od momentu wyjazdu cała grupa jest w rozsypce. Ja siedzę w poczekalni przy bagażach. Coraz bardziej zaniepokojony zerkam na zegar. Nie wiem kompletnie, co jest grane. W tym czasie Madzia czeka z benzyną na peronie ale do

pociągu wsiąść nie może z powodu „lewych” biletów. Łukasz biega za wózkowymi a Maciek próbuje przekonać ludzi w kolejce do kasy, że powinni go wpuścić bo ucieknie mu pociąg, na który notabene od 10h grzecznie czekał. Szaleństwo trwa przez następne 20 minut. Ja przerzucam 200 kg bagażu przez barierki poczekalni, pomaga mi w tym jakiś dziadek. Łukasz to odbiera i co się da to próbuje załadować na wózek. Maciek jest w tym czasie odsyłany od kasy do kasy, więc na 10 minut przed odjazdem pociągu wciąż tłumaczy ludziom w kolejnych ogonkach, że musi pilnie bilety wymienić. W końcu rozpoczął się szaleńczy bieg. Do przebycia mieliśmy całą długość peronu (nasz wagon był 2-gi z 20-tu!!!). Na prowadzenie najpierw wysunął się wózkowy, ale kółko mu podskoczyło na nierówności i z wózka spadła torba a za nią komplet pulek z nartami. Dobiega do niego Łukasz z torbą i plecakiem, zaraz potem pojawia się wielki wór i ja – niewiele większy od wora. Nagle przebiega koło nas Maciek wymachując biletami. A Madzia... wciąż pilnowała na peronie benzyny. Jej nadzieja na to, że nam się uda, zaczęła już wygasać. I wtedy zobaczyła biegnący z odsieczą konwój! Jeszcze szybka kontrola paszportowa przed drzwiami wagonu i zaczynam się przepychać z pierwszą partią bagażu do naszych miejsc, oczywiście... na drugim końcu wagonu, który jest już pełen ludzi, toreb, kartonów. Kiedy czekam na towarzyszy i resztę naszego dobytku uświadamiam sobie, że pociąg już ruszył. A ja nawet nie wiem czy reszta zdążyła z tym całym bajzłem wsiąść. Nagle zaczęły do mnie ocierać kolejne torby, plecaki. Okazało się, że ludzie w wagonie postanowili pomóc i podawali je sobie z rąk do rąk. Nareszcie pojawia się reszta ekipy. Okazuje się, że nikt i nic nie zostało na peronie.

2 III 2011

Budzę się przed 22-gą z czerwonymi i spuchniętymi oczami. A mówił Sasza żeby nie pić piwa po wódce. Teraz mnie łeb boli. Ale było całkiem miło. Krótkie wyjaśnienie – popołudniu wpadł do naszego boksu Sasza – Białorusin jadący na azjatycką stronę Uralu. Chciał się zintegrować, a ponieważ był bardzo miły i twierdził, że ma właśnie tego dnia urodziny nie mogliśmy mu

odmówić. Poczęstował nas litrem wódki i zakąską w postaci pysznego chleba, słoniny i oliwek. W takiej atmosferze podróż szybko mija. Nawet, jeśli trwa kilka dni.

Powoli dojeżdżamy do Inty, a temperatura na zewnątrz wynosi jedynie -6! Maciek podsumowuje: „Stary, pod Śnieżką by nas teraz wypizgało a tu co? -6?! Jestem zdołowany...”

3 III 2011

Rano, po 36 godzinach jazdy pociągiem wysiadamy w Incie. Meldujemy się na dworcowym posterunku policji i wymieniamy się z nimi numerami telefonów. Zapewniają nas, że jeśli nie wrócimy za 3 tygodnie to będą nas szukać. Ogólnie miłe przyjęcie.

Dzięki temu, że mamy ze sobą wszystkie niezbędne rzeczy możemy praktycznie od stacji od razu ruszyć w kierunku gór. Ale nie do końca! Wpadamy jeszcze do sklepu po artykuły z „zestawu Saszy”, czyli po wódkę i słoninę. Dopiero teraz jesteśmy w pełni gotowi do wymarszu.

Początkowy, 5 km etap jest mało atrakcyjny – ubity, rozjeżdżony śnieg, kamienie i pełno ciężarówek. Ale po minięciu ostatniego skrzyżowania zostajemy tylko my i nasze pulki. Teraz zaczyna się prawdziwa walka. Droga jest wprawdzie dobrze widoczna, ale jest też przysypana śniegiem. Przeładowane pulki co kilka kroków przewracają się. Grzęźniemy w zaspach. Po prostu mordęga. Przechodzimy w tych warunkach jeszcze z 10 km. Namiot rozbijamy w lesie kilkanaście metrów od drogi. Podczas rozbijania namiotu zapadamy się w głębokich zaspach, to tak na dokładkę do wysiłku z całego dnia.

4 III 2011

Następnego dnia od nowa, krok po krocisku, metr po metrze do przodu. Walczymy w ten sposób do wieczora i urywamy kolejne 15 km. W tym tempie to za jakiś tydzień dojdziemy na Narodnaja i natychmiast trzeba będzie wracać. Rozwiązanie pojawiło się samo. Zaświeciło z daleka potężnymi reflektorami i rozbiło swoją masą 1,5 metrową zaspę. Nam pokonanie tej zasy zajęło jakieś 15 minut. W ten sposób nadszedła potężna ciężarówka

przystosowana do przewozu ludzi. Maciek zagaduje kierowcę, a ten zgadza się nam pomóc. Zwijamy szybko dopiero co rozłożony namiot i ładujemy się z całym bajzłem do środka. Jesteśmy bardzo głodni i spragnieni. W ciągu dnia zużyliśmy zapasy a teraz, kiedy powinniśmy w namiocie topić śnieg i przygotowywać kolację siedzimy w ciężarówce. Jednak przed wjazdem na płaskowyż nasi rosyjscy wybawcy zatrzymują się na posiłek. Widząc nasz wygłodniały wzrok dzielą się z nami chlebem, wędzonym mięsem i samogonem lanym z 3 litrowej piersiówki. Po paru godzinach jazdy po płaskowyżu dogania nas drugi – znacznie mniejszy, ale i nowocześniejszy pojazd. Kieruje nim dyrektor kopalni, który proponuje, żebyśmy się z nim zabrali. Po kolejnej akcji przeładunkowej pędzimy skacząc po zaspach z prędkością nawet do 30km/h w kierunku gór. Nad ranem docieramy do kopalni. Spać idziemy dopiero o 5 rano. 23 godziny na nogach.

5 III 2011

Dyrektor ułokował nas w eleganckich, ciepłych pokojach z wygodnymi łózkami i czystą pościelą. Możemy nareszcie po tygodniu w podróży wziąć prysznic. Do dyspozycji mamy również czajnik elektryczny, więc nie musimy topić śniegu. Nie nastawialiśmy się na takie udogodnienia w podróży, ale gdy już się natrafiły to tym bardziej je doceniamy. Tym bardziej, że Madzia wyjechała z Polski przeziębiona. Ten epizod z kopalnią pozwolił jej zwalczyć gorączkę i dojść do siebie. Popołudniu, w towarzystwie kopalnianego psa, udajemy się na pobliski szczyt o wysokości 1300 metrów, aby podziwiać zachodzące słońce.

6 III 2011

Przystajemy na propozycję dyrektora i ten wczesnym rankiem podwozi nas kolejne kilkanaście km w stronę Narodnaji. Za wszystko, co dotychczas dla nas zrobił nie chce ani kopiejki. Mówi, że „to u nich normalne”. A zrobił wiele. Dzięki niemu czystości, wypoczyni, a przede wszystkim o tydzień wcześniej niż planowaliśmy wyruszamy by przebyć ostatni odcinek, jaki dzieli

nas od szczytu.

Podchodząc kilka godzin mniej lub bardziej stromymi stokami o godzinie 14:45 wszyscy stajemy na szczycie. Na końcowym podejściu komfortu dodawały raki, gdyż śnieg na stoku był bardzo mocno zmrożony. Praktycznie nie dało się go „ugryźć” nawet krawędzią twardej podeszwy górskiego buta.

Pogoda na szczycie była piękna. Temperatura wprawdzie powoli zbliżała się do -20 stopni, ale suche powietrze i całkowity brak wiatru powodował, że nie była ona tak odczuwalna. Kiedy już nacieszyliśmy się już widokami oglądanymi z najwyższego szczytu Uralu postanowiliśmy schodzić. Zejście było bardzo często przerywane robieniem zdjęć pięknego zachodu słońca. Do kamienia, pod którym „zaparkowane” czekały na nas pulki dotarliśmy już w całkowitych ciemnościach. Miejsce to wcześniej przygotowaliśmy pod namiot, więc teraz rozłożyliśmy sprawnie obóz i odpaliliśmy maszynki. Czas na zasłużony posiłek.

7 III 2011

Kolejnego dnia próbowaliśmy dotrzeć pod Manaragę. Niestety droga, którą wybraliśmy nie była najlepsza. Zatrzymało nas strome zejście kotłem do doliny Manaragi. Masy śniegu, jakie się tam nzbierały oraz ślad po lawinie nie zachęcały do prób zejścia tą drogą. Do tego stanęliśmy jak zahipnotyzowani wpatrując się w dolinę. Wspólnie przyznaliśmy, że przed nami rozpościera się jeden z najpiękniejszych widoków, jakie w życiu widzieliśmy. Postanowiliśmy tu na tej przełęczy z zamarznętym jeziorkiem rozbić namiot. Podczas rozbijania namiotu stwierdzam odkrywczo, że „robi się zimno”. Rzeczywiście temperatura wtedy spadała już poniżej -20 stopni. Madzia zwróciła uwagę, że z takim podejściem można powiedzieć, że do -20 jest ciepło. Tego wieczoru było jednak zdecydowanie zimno. A w nocy termometr zostawiony na zewnątrz dobił do dna wskazując -30 stopni.

8 III 2011

Eksploracja! Wraz z Maćkiem udajemy się na okoliczne góry.

Chcemy poczuć na twarzy wiatr, mróz i po prostu się wyżyć. Madzia i Łukasz zniechęceni wiatrem i słabą widocznością zostają w namiocie. Wspinamy się na pobliską górę i rozpościera się przed nami płaskowyż. Po prawej stronie, zaledwie kilka kroków od nas płaskowyż urywa się pionową ścianą. Dokoła zawieja i duży mróz. Czasami po płaskim szczycie przetacza się mała trąba powietrzna kręcąca tumanami śniegu. Tego właśnie szukaliśmy. Trochę bólu musi być! Przez następne godziny wędrujemy zataczając łuk wokół kotła. Dochodzimy do miejsca po drugiej stronie i stajemy w miejscu gdzie zaczyna się grań. Wiatr przegania chmurę i dostrzegamy w oddali ciemną plamkę – to nasz namiot. Wracamy do niego tą samą drogą, którą przyszliśmy. Tego dnia wreszcie wyglądaliśmy jak polarnicy – zamrożnięte włosy, oblodzone brwi oraz... szeroko uśmiechnięte mordy.

9 III 2011

Tego dnia przechodzimy w sumie ponad 20 km. Zaczęliśmy od zdobycia jednego z okolicznych szczytów. Był on o tyle wyjątkowy, że widoczna z niego panorama obejmowała całą dolinę Manaragi, okoliczne szczyty i granie, a także samą królową Uralu – Narodnąję.

Potem przyszedł czas na zwinięcie obozu i opuszczenie tego wymarzonego na biwak miejsca. Przechodząc przez kolejne przełęcze dochodzimy do naszego „obozu głównego”, w którym nocowaliśmy po zdobyciu Narodnaji. Zabieramy resztę pozostawionych tu rzeczy i rozpoczynamy marsz w kierunku kopalni. Tuż przed zmrokiem napotykamy inną grupę. Byli to jedyni na tej wyprawie napotkani turyści i... również z Polski! Grupa Azymut Wschód & Przyjaciele dopiero dotarła w góry i właśnie rozbijała obóz. Wymieniliśmy się doświadczeniami i zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie. Potem nasza grupa ruszyła w dalszą drogę. Już po zmroku dotarliśmy do malutkich chat pasterskich nad Jeziolem Bałbanty. Żadna z nich nie nadawała się na nocleg dla 4 osób, ale w jednej z nich chociaż napaliliśmy w piecu i spożyliśmy kolację. A potem do namiotu.

10 III 2011

Tego dnia przeszliśmy jedynie 10 km, ponieważ postanowiliśmy się zregenerować i odświeżyć w kopalni a w drogę powrotną ruszyć dnia następnego. Koło 1 w nocy, kiedy siedzieliśmy przy herbacie Maciek wyjrzał przez małe okienko. Nagle krzyknął i wybiegł. Mimo wiatru i mrozu wszyscy wyszliśmy na zewnątrz po raz pierwszy podziwiać to piękne zjawisko, jakim jest zorza polarna.

11 III -15 III 2011

Rano opuszczamy kopalnię i zaczynamy ostro maszerować w kierunku Inty. Od dworca dzieli nas 125 km płaskowyżu, tajgi i tundry. Pierwszego dnia przeszliśmy 23 km dochodząc do wiaty nad rzeką. Miejsce na biwak jak malowane. Rozpalamy duże ognisko i smażymy słoninę. Dookoła pełno śladów wilków, ale żaden w nocy nie zawył. Maciek licząc na kolejną zorzę nastawia budzik na 2-gą w nocy. Nie przeliczył się. Stanie przez pół godziny w -30 stopniach zaowocowało zrobionymi przez niego ujęciami niezwykłych, nocnych świateł na niebie. Mimo, że podnieconym głosem próbował nas do tego zachęcić, nikt nie zdecydował się wyjść ze śpiwora żeby mu towarzyszyć.

Następnego dnia znów codzienna ceremonia topienia śniegu na posiłki i herbatę. Dziś chcemy dojść do przeprawy na rzece Kożym. Podobno jest tam chatka, a jak jest chatka to może jest i piec. Dzieli nas od niej 28 km, ale droga jest przetarta i mamy dobre tempo. Po drodze mijamy tereny łowieckie wilków. Świadczą o tym licznie występujące tropy. Kiedy będziemy bliżej rzeki natkniemy się również na ślady dużo potężniejszych zwierząt – łosi. Wokół drogi kilkakrotnie widzimy wyrwy w zaspie, przez którą przebił się łoś. Niestety nie udało nam się zobaczyć żadnego z tych stworzeń.

W pewnym momencie zauważam na drodze coś, co wyraźnie odróżnia się od białej tafli śniegu. Bez wahania podnoszę i pakuję na pulkę bryłę węgla wielkości ludzkiej głowy. Z góry założyłem, że w chatce będzie piec, i że warto to dźwigać przez następne 5 km. Tuż przed całkowitym zmrokiem docieramy do brodu na rzece. Przechodzimy po lodzie i przejmujemy we władanie chatkę

położoną nad stromym brzegiem. W środku jest koza! Tzn. taki piec, więc nie targałem węgla na darmo. Rozpalamy ogień i momentalnie robi się ciepło. Dziś jemy jak ludzie – tzn. rozsiadamy się wokół stołu z ustawioną po środku świecą.

Kolejnego dnia wychodzimy na płaskowyż i licząc po cichu, że uda nam się go przejść całego od początku trzymamy szybkie tempo. Jednak droga prowadząca na wierzchołek wzniesienia sięgającego 640 m. n.p.m. dłuży się niemiłosiernie. Kiedy go osiągamy zerkamy po raz ostatni na majaczące w oddali góry. Z żalem żegnamy się z nimi. Od tej pory maszerujemy w niemal księżycowej scenerii. Płaskowyż ten jest w zimie zupełnie pozbawionym „dekoracji” płaskim terenem. To, co dodaje emocji w monotonnym marszu to piękny zachód słońca. Mimo przebytych 29 km nie udaje nam się dojść do lasu po drugiej stronie wzniesienia. Nocujemy w otwartym terenie.

Nakręcení coraz dłuższymi pokonywanymi odległościami podświadomie dążymy do ustanowienia kolejnego rekordu. Zapominamy, że jest z nami kobieta, która bez narzekania ciągnie takie same sanie jak my. Teraz, kiedy o tym myślę to dziwię się, że nie dostaliśmy kijkiem po głowie. Ale taki jest już Madzi charakter. Oprócz tego, że ta drobna dziewczyna podejmuje się imponujących wyzwań to cele realizuje do końca z uśmiechem na ustach. Dobra forma całej ekipy powoduje, że tego wieczora docieramy do miejsca naszego pierwszego noclegu. Tym samym przekroczyliśmy magiczną granicę 30 km na dzień.

Ostatnie 15km, jakie dzieliło nas od dworca pokonujemy ostatniego dnia wędrówki już na luzie, bez podkręcania tempa. W pobliżu miasteczka widzimy idącego z naprzeciwka mężczyznę. Na sobie nosił czarne, skórzane ubrania, na nogach wysokie glany a w ręku puszka piwa. Kiedy zbliżamy się do siebie dodatkowo podjeżdża starym autem inny, szczerbaty mężczyzna. Wpierw pytają kim jesteście i co tu robimy. Mówimy, że wracamy z gór. Są zaskoczeni, że przeszliśmy taki dystans. Pytają czy dużo zdjęć narobiliście. Zaczęliśmy się obawiać, że czyhają na nasze aparaty fotograficzne i poczuliśmy niepokój. Facet w skórach sięgnął pod kurtkę. Wyciągnął czarny, skórzany, nabijany ćwiekami pokrowiec. Czy wyjmie nóż? Nie, za to naszym

oczom ukazuje się nowiutki Nikon – oczywiście czarny. Podaje go Madzi, ustawia się koło Łukasza i prosi, żeby zrobić im zdjęcie. Mężczyzna z samochodu jeszcze nadmienia: „-Też raz kiedyś byłem w górach”. Potem z uśmiechem żegnają nas.

Przechodzimy ostatni kilometr i docieramy do punktu wyjścia, czyli do dworca w Incie. Maciek informuje milicjantów o naszym bezpiecznym powrocie, następnie kupujemy bilety i pozostaje już tylko czekać do północy na najbliższy pociąg do Moskwy.

16 III-19 III

W drodze powrotnej czekało nas jeszcze trochę przygód. W pociągu z Inty Madzia musiała się chować przed pijanym Tatarem, który chciał ją porwać do domu i pojąć za żonę. Z niewiadomych względów nasza koleżanka odrzuciła ofertę zamieszkania na Uralu Południowym i posiadania własnego konia. Poza tym mimo zredukowanej ilości bagażu w Moskwie znów czekały nas roszady i bieganie na tury, żeby się przemieścić między dworcami i pociągami. A we Lwowie zgarnął nas do busa sympatyczny Ukraińiec, który pokazał jak sobie umie radzić z miejscową milicją i ukraińskimi strażnikami granicznymi. Lekcje, jakie otrzymaliśmy pozwoliły nam z kolei sprawnie uporać się z polską kontrolą. Dzięki temu częściowo ominęliśmy kolejkę i zyskaliśmy cenne minuty. Na dworzec w Przemyśle przyjeżdżamy dosłownie w ostatniej chwili. Kiedy wrzucamy bagaże z peronu do pociągu przybiega Łukasz z biletami. Wsiadamy i w tym momencie pociąg odjeżdża. Za nami 3 tygodnie niezapomnianych przeżyć, mnóstwo pozytywnych wrażeń i życzliwych ludzi. Aby uczcić przygodę z uśmiechem wychylamy po kieliszku wódki. Wtedy do przedziału zagląda smutny Strażnik Ochrony Kolei i smutnym głosem prosi o dokumenty w celu wypisania mandatu. Jesteśmy w domu!

– END –

Powrót

Wyprawa zakończona. Po 3 tygodniach powróciliśmy do domów. Jak tylko przygotujemy materiał postaramy się zorganizować prezentację i opowiedzieć co robili Polacy na końcu Europy. A jest o czym opowiadać.

Siarczyste mrozy, przepiękne widoki, wędrówka przez tajgę i tundrę, eksploracja gór, zorze polarne, skwiercząca na ognisku słonina i to co dla mnie jest niezwykle ważne: Narodnaja zdobyta!

Tym samym Rosja stała się 29-tym krajem do którego udałem się po najwyższą górę. Dodatkowej satysfakcji dodaje fakt, że nie słyszeliśmy o innej ekipie z Polski, która by weszła przed nami na najwyższą górę Uralu o tak nieprzyjaznej porze roku. Jak tylko powstanie relacja albo będzie znany termin i miejsce prezentacji to poinformuję Was o tym.

U nas w Rosji...

Wyruszamy!

Podczas trwania wyprawy, czyli przez większą część marca zapraszam do zaglądania na stronę www.dziaba.com.

Będziemy się starali, aby informacje od nas trafiły do Polski i dzięki zaprzyjaźnionym duszom ukazały się na oficjalnej stronie wyprawy.

Dziękujemy wszystkim za genialne wsparcie i wszystkie dobre słowa, jakie od początku od Was słyszymy!

Austria – Grossglockner – czyli zaległa relacja

Cel – Grossglockner (3798 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – listopad 2007

Kto – Dziku & Ala & Marcin & Dominika & Oskar

Mój pierwszy 3-tysięcznik. Góra wyjątkowa i przełomowa pod kilkoma względami. Ale od początku:

Po powrocie z udanego wyjazdu na Zugspitze biorę na celownik Triglav w Słowenii. Kombinuję jak tam samemu dotrzeć. Ciągłe nie znam nikogo, kto byłby podobnym tematem zainteresowany. Szukam w internecie wskazówek – dojazd, koszty, pogoda, trudności... Natrafiam na relację z Triglava z końcówki września, czyli z podobnego terminu do tego, w którym ja chcę jechać. Pod relacją nr GG do autorki. Po rozmowie pisanej przyszła kolej na rozmowę telefoniczną. Słyszę:

– my na Triglavie mieliśmy straszną mgłę, więc z chęcią pojedziemy raz jeszcze. Możemy razem jechać.

Świetnie, wygląda na to, że przez przypadek znalazłem ekipę. Umówiliśmy się na wyjazd jakoś na połowę października. Ale gdy przyszedł dzień wyjazdu czuję się fatalnie. Dopadła mnie jakaś choroba i osłabienie. Siedzę jednak ze spakowanym nowiutkim plecakiem. Nie chcę stracić takiej okazji. Jednak Marcin, którego autem mieliśmy jechać, już wcześniej sygnalizował, że mogą być z tym problemy. Tzn. z autem, bo się popsuło. Czyli ja chory, auto chore, widać tak miało być. Wyjazd przełożony na sam początek listopada. Zmienia się nie tylko termin, ale również cel. Ala i Marcin zaproponowali, żeby zaatakować również Grossglocknera w Austrii. Dla mnie bomba.

Dzień wyjazdu:

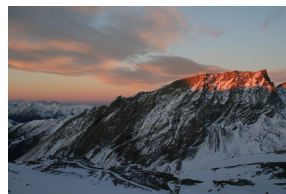
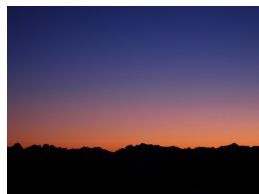
Wieczorem docieram pod wskazany adres. Poznaje Alę, Marcina, Dominikę i Oskara. Zapadają ostatnie decyzje co do zabieranego sprzętu. Mój namiocik (Piesek Leszek) zostaje. Zabieramy tylko jeden (2 lub 3 osobowy) namiot. Na 5 osób. A 5 osób to sporo miejsca. To również sporo bagażu. Nawet jak na kombiaka. Marcin jednak umiejętnie pakuje wszystko pod sam sufit. Ile razy jeszcze w przyszłości będę miał okazję obserwować jak on spokojnie układa te stosy szpeju, plecaków, butów i namiotów... No właśnie – już siedząc w aucie po raz kolejny poruszam temat noclegu. Jak się pomieścimy w jednym namiocie? Yyyy jakim namiocie? Okazało się, że nie spakowaliśmy nawet tego jednego. Ktoś się jednak po niego wraca. Ruszamy. Dojeżdżając do ronda na Pl. Grunwaldzkim pada pytanie:

– To najpierw Słowenia czy Austria?

Szczęka mi opada. Skąd się biorą tacy ludzie? Na dobitkę, już na autostradzie, Marcin pyta się mnie spokojnym tonem:

– Masz uprząż?

Wiedziałem, że moja odpowiedź nie ma już większego znaczenia. Jedziemy na Grossglocknera.



1 listopada

Marcin prowadzi całą noc. Dla mnie to rzecz niezwykła. Ja nawet jadąc 100 km z Nysy do Wrocławia zatrzymuję się na drzemkę. A On... wysiada na parkingu w Kals i pakuje plecak. Jakby od niechcienia instruuje mnie z pomocą kijka i linki jak

sobie poradzić jeśli wpadnę do szczeliny w lodowcu. A we mnie aż się gotuje od emocji. Już do mnie dociera, że po tej akcji wszystko będzie wyglądało inaczej.

Plecaki spakowane. Przed nami Grossglockner w całym majestacie. Pamiątkowe grupowe zdjęcie i w drogę. Jeszcze raz pytam co z noclegiem. Jak to co? Powinien być schron koło nieczynnego już schroniska. A namiot? Został w aucie. Po co nam jeden namiot na 5 osób...?



2 listopada

Ok. 7 rano wychodzimy ze schronu położonego na wysokości 2800 metrów. W nocy niewiele spałem. Pewnie z powodu emocji. Ale czuję się doskonale. Wczoraj po raz pierwszy w życiu topiłem śnieg na herbatę a dziś czeka mnie przeprawa przez prawdziwy lodowiec, również po raz pierwszy. Wkrótce stajemy przed białą taflą pokrytego świeżym śniegiem lodowca. Ktoś zastanawia się na głos:

– Ciekawe, w którym miejscu wpadli...

Chodzi o trójkę Polaków, którzy zginęli gdzieś tu w szczelinie zaledwie parę tygodni temu.

Dzielimy się na dwa zespoły. Ja z Alą i Marcinem w jednym. Oskar z Dominiką w drugim. Bez przeszkód udaje nam się przejść lodowiec. Dochodzimy do stromego odcinka ubezpieczonego stalowymi linami. Wkrótce jesteśmy już przy nieczynnym i całkowicie przysypanym śniegiem schronisku Erzherzog-Johann-Hutte na wysokości 3454 m n.p.m. Krótki postój i ruszamy dalej. Odpoczywając i jedząc ściągnąłem rękawiczki. To był błąd. Nie mogę teraz rozgrzać dłoni. Moje palce ogarnia taki ból, że nie mogę wytrzymać. Mówię o tym pozostałym. Wydaje mi

się, że dla mnie to koniec przygody, że będę musiał tu zostać i poczekać na nich aż wrócą ze szczytu. Bo ja przecież nie mogę czekać utrzymać. Tymczasem Marcin rozciera mi dłonie a Ala podaje z plecaka swoje grube, jednopalczaste rękawice. Po paru minutach czuję, że palce są rozgrzane. Mogę iść dalej. Nachodzi mnie myśl, że znam tych ludzi od parunastu godzin, a już czuję, że łączy mnie z nimi więcej niż z niejednym starym znajomym.

Wkrótce dochodzimy do wąskiej grani pomiędzy „Małym” i „Dużym Dzwonnikiem”. Marcin idzie pierwszy. Odwraca się jeszcze i mówi:

– Jeśli będę spadał na którąś stronę, to Ty skacz na drugą.



Przechodzimy bezpiecznie ten trudny moment ale to nie koniec. Ostatnie podejście jest strome, a wszelkie szpary między kamieniami zapchane są śniegiem. Czasem nie wiadomo gdzie się złapać, gdzie stopę postawić. Dwukrotnie stoję i podciągam się na jednym, przednim zębie raka, zaczepionym o małą nierówność. Zdaję sobie sprawę, że obsunięcie się w takim momencie mogłoby oznaczać ściągnięcie partnerów i upadek w przepaść. A może nie? Może Marcin i Ala cały czas wszystko kontrolują? W końcu przecież bezpiecznie wchodzimy na szczyt. Jest piękna pogoda a my jesteśmy tu zupełnie sami. Próbuje zjeść chałwę. Zatyka mnie i dostaję zadyszki. Pierwszy raz odczuwam na sobie wpływ niskiego ciśnienia. W końcu przedwczoraj byłem 3700 metrów niżej...

– END –

Hiszpania

Cel – Mulhacén (3478 m n.p.m.) – niezdobyty

Kiedy – wrzesień 2010

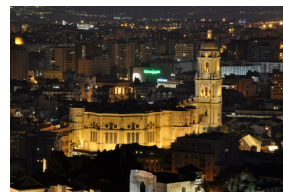
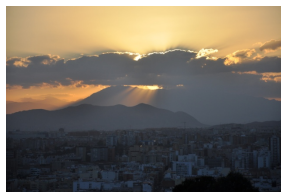
Kto – Dziku & Anetka

Nie ma co ściemniać: **Mulhacen (3478 m)** miał być zrobiony tylko przy okazji. Polecieliśmy do Malagi i Granady na normalny urlop. Dodatkowo w dzień wylotu dowiedziałem się, że mam zapalenie ucha środkowego. Dostałem na to prochy, które spowodowały, że byłem niezwykle spokojny. Nie nosiło mnie tak jak zwykle mnie nosi. Zasypiałem wszędzie gdzie przystanąłem. Pełen relaks. O to chodziło.

A wracając do gór... no niestety. Wybraliśmy fatalny dzień na zdobywanie szczytu. Ulewny deszcz i wiatr, który nas po prostu przewracał, spowodowały, że misja zakończyła się niepowodzeniem. Okropnie przemoczeni i wyziębieni weszliśmy (nieco przypadkiem) na szczyt Pico de Veleta (3396 m.), po czym postanowiliśmy ratować się ucieczką. Przypuszczam, że ta przygoda mogłaby fatalnie odbić się na naszym zdrowiu gdyby nie mężczyzna, który z niewiadomych przyczyn podjechał samochodem na wysokość ok. 3200 m. n.p.m. (ta droga jest najwyższej położoną drogą w Europie). Kiedy nas zobaczył, kazał natychmiast wsiadać. Byliśmy w kiepskim stanie. Osobiście nigdy nie byłem tak wyziębiony. Nie panowałem zupełnie nad drgawkami, które ogarnęły całe moje ciało. Kierowca pewnie widział co jest grane, bo odwiózł nas do oddalonego o ok. 30 km. samego centrum Granady. Ciekawostka: dzień wcześniej wygrzewaliśmy się w niemal 30 stopniowym upale. No cóż, tak to z górami bywa.

Z powodu pogody nie mamy ani jednego zdjęcia z wejścia na Pico

de Veleta. Za to jest kilka o tematyce miejskiej.



Zatem ta góra jest do poprawki...

– END –

Mulhacén (3478,6 m n.p.m.) – szczyt w południowej części Hiszpanii w paśmie Sierra Nevada w Górach Betyckich. Zbudowany ze skał metamorficznych i osadowych. Zbocza przekształcone w wyniku procesów glacialnych.

Najwyższy szczyt kontynentalnej części Hiszpanii i Półwyspu Iberyjskiego, jednocześnie najwyższy szczyt kontynentu europejskiego znajdujący się poza Alpami.

W pobliżu szczytu znajduje się najwyższa droga Europy (najwyższy punkt 3380 m n.p.m.) prowadząca niemal na wierzchołek szczytu Veleta (3396 m n.p.m.). [źródło: [Wikipedia](#)]

Gołem Korab

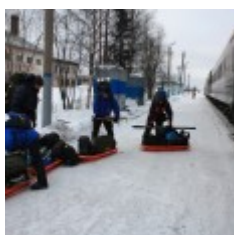
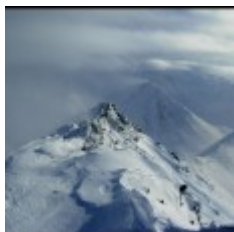
Cel – Macedonia/Albania – Golem Korab – zdobyty

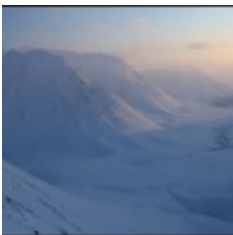
Kiedy – maj 2010

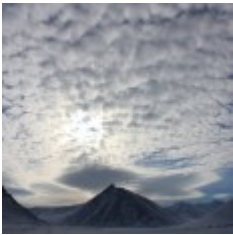
Kto – Dziku & Madzia & Laura & Artur & Łukasz & Marek & Aga & Asia

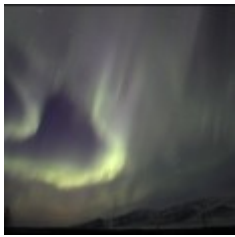
Tekst – Dziku

Zdjęcia – Cała ekipa













Golem Korab (2764 m. n.p.m.) – szczyt w masywie górskim, który oddziela dwa Bałkańskie kraje – Albanie i Macedonię. Jest to także najwyższy szczyt obu tych państw.

[tekst z maja 2010]

Dzień 1

Nareszcie piątek – prawdopodobnie ulubiony dzień tygodnia w wielu zakładach pracy. Dziś wychodzę z pracy trochę wcześniej. W drodze do domu zatrzymuję się jeszcze w kilku sklepach z częściami samochodowymi. Gdy dojeżdżam do domu mam już podstawowe narzędzia mogące się przydać w awariach na długiej trasie. Pozostaje tylko spakować plecak i w drogę. Jadę przez zakorkowane miasto po Magdę, Laurę i Artura. Z Laurą już nie raz wspólnie zdobywaliśmy szczyty, ale dla Madzi i Artura była to pierwsza wyprawa typu „jechać, wliść, zliść, jechać, wliść, zliść...”.

Wieczorem nareszcie wyjeżdżamy z zatłoczonego Wrocławia na autostradę. Tutaj po paru kilometrach dołącza do nas drugie auto. W środku Łukasz, Marek i Agnieszka, których znam z poprzednich wypadów. Jest tam też koleżanka Łukasza – Asia, zupełnie nowa osoba w naszej ekipie.

Jak się w ciągu kolejnych kilku dni okazało, skład był silny i wyrównany. Wszyscy świetnie radzili sobie kondycyjnie w naprawdę niełatwych warunkach. Do tego dla kilku z nas zdobywane szczyty były kolejnymi rekordami wysokości.

Dzień 2

Przed nami do przejechania ok. 1600 km. Po kolei mijamy więc: Czechy, Słowację, Węgry i Serbię. Epizody z oponami oraz obowiązkowymi odpoczynkami sprawiają, że do Mavrovi Anovi – górskiej miejscowości w Macedonii – docieramy dopiero w niedzielę. Nic nie szkodzi – takie opóźnienia nie są zaskoczeniem.

Dzień 3

Największą niewiadomą podczas organizowania wyprawy na Korab od początku były dla mnie formalności, jakie nas tu czekały. Przed wyjazdem przeczytałem w Internecie, że chcąc przebywać w strefie przygranicznej Albanii, Macedonii i Kosowa, należy parę miesięcy wcześniej ubiegać się o pozwolenie w macedońskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Ten rejon nawet dziś bywa niebezpieczny. Ciągłe mogą znajdować się tam pola minowe po konflikcie Macedońskim z 2001 roku. Front przebiegał wtedy właśnie przez przygraniczny obszar górski. Wciąż też jest aktualny problem z armią KLA (Kosowską Armią Wyzwolenia), która to wykorzystuje ten region jako drogę przemytu.

Założyłem jednak, że to jak zostaniemy tu przyjęci to będzie kwestia przypadku na jakich ludzi trafimy. I mieliśmy szczęście, ponieważ nasze 3 etapowe załatwianie formalności wyglądało następująco:

Etap 1 – Miejscowy posterunek policji. Wychodzi policjant, ogląda nas i stwierdza, że kompletnie nie wyglądamy na ludzi gór. Próbuje nas wystraszyć grasującymi w tych lasach niedźwiedziami i stadami wilków. Pokazuje nam pistolet i mówi, że owszem, oni czasami tam chodzą, ale tylko z bronią automatyczną. Ja mu przedstawiam wydrukowany w domu fragment mapy i pytam o drogę na szczyt. Po chwili nie mam wątpliwości, że ten policjant w górach wcześniej nie bywał. Najważniejszy cel jednak osiągnięty. Mężczyzna nie ma nic przeciw żebyśmy sobie tam poszli, powtarza jednak kilkakrotnie: „it's your own risk”.

Etap 2 – to siedziba Parku Narodowego Mavrovo, na którego terenie znajduje się szczyt. Miałem obawy w związku z tą instytucją gdyż podejrzewałem, że będą nas próbowali namawiać na przewodnika. Tego dnia jednak wyszedł do nas młody pracownik parku i stwierdził, że nie ma najmniejszego problemu i możemy udać się na szczyt. Pod warunkiem jednak, że zostaniemy przepuszczeni przez posterunki policji granicznej.

I tak udajemy się do etapu 3 – ostatniej formalnej przeszkody – położonego w górach posterunku policji granicznej. Jadąc po terenowych drogach spotykamy grupy liczące od kilku do kilkunastu umundurowanych mężczyzn. Wszyscy z bronią przy boku. Ale jednocześnie wszyscy przyjaźnie nastawieni. Omijając dziury i co większe kamienie dojeżdżamy do posterunku w miejscu zwanym Strezimir. Tu wychodzi do nas dowódca – uśmiechnięty, sympatyczny mężczyzna. Po angielsku mówi, że nie widzi przeszkód żebyśmy pojechali wyżej – do oddalonego o kilka kilometrów ostatniego przed górską granicą posterunku. Przygląda się jeszcze naszym pojazdom i ocenia z uśmiechem: „Ta droga nie jest dobra ale wasze samochody mają szansę to przetrwać...”.

Do tej pory, wbrew temu co słyszałem i czytałem wszystko idzie bardzo gładko. I to nie koniec miłych niespodzianek. Końcowy etap na dziś to umieszczona wysoko w górach ogrodzona drutem kolczastym baza pilnowana przez paru ludzi. Aby tam dojechać musieliśmy pokonać naszymi samochodami drogi przeznaczone dla wojskowych jeepów. Nie zapomnę sceny kiedy to z Łukaszem prowadzimy ostrożnie nasze auta, a przed maską... szły dziewczyny zbierając i odrzucając na bok co większe głazy.

Niedziela wieczór – nareszcie docieramy do ostatniego posterunku. Jest to miejsce, z którego wyjdziemy jutro zdobywać szczyt. Przywitało nas tu dwóch mężczyzn, którzy zachowują się, jakby im nasza wizyta bardzo odpowiadała. Możemy swobodnie rozbić namioty, a na pytanie o ognisko pokazują, że możemy rozpaść je gdzie nam się podoba. Jakby tego było mało, otwierają szopę i pokazują pocięte drzewo, z którego możemy korzystać. Nie chcąc nadużywać gościnności ruszamy z Arturem do lasu nazbierać gałęzi. Mężczyzna jednak krzyczy za nami. Raz jeszcze pokazuje na drzewo w szopie i daje do zrozumienia, że nie chce abyśmy zbierali drzewo w lesie. Nie wiemy, czy chodzi o miny, sidła, czy po prostu o szczerą gościnność.

Tego wieczoru nikt z nas nie zapomni. Przedwczoraj wszyscy

byliśmy w pracy, a dziś – siedzimy w uroczym, odludnym miejscu, rozmawiamy, palimy ognisko i pieczemy kiełbasy.

Dzień 4

Wstajemy wcześnie rano, jemy śniadanie i ruszamy na górę. Szlak na szczyt jest oznakowany słabo. Do tego dochodzą wielkie połacie śniegu, które skutecznie zasłaniają namalowane na skałach znaki. To powoduje, że po minięciu starych, opuszczonych, pasterskich zabudowań zbaczamy ze szlaku. Potem sytuacja powtarza się. Po utracie orientacji instynktownie kieruję się na najbliższy szczyt by lepiej rozeznać się w terenie. Po paru godzinach od wymarszu zamiast na Korabie, stoję prawie 2600 m. n.p.m. na innym szczycie, już na granicy z Albanią. Kiedy dociera do mnie reszta grupy nie mamy już wątpliwości, że szczyt jest jeszcze daleko. Przed nami zaś do pokonania pozostał odcinek grani – naturalnej granicy Macedońsko – Albańskiej. Nikt z nas się tym jednak nie zmartwił. Wprost przeciwnie – widząc otaczające nas krajobrazy nie da się ukryć szczęścia, które się maluje na naszych twarzach. Cieszymy się z każdej spędzonej tu chwili. Po kolejnych godzinach marszu stajemy na szczycie. Korab – 2764 m. n.p.m. zdobyty. Czuję ogromną satysfakcję. Pogoda jest piękna, więc na najwyższym punkcie dwóch bałkańskich państw spędzamy sporo czasu. Jemy, robimy zdjęcia, wygłupiamy się. Nikomu się nie śpieszy. Nawet kiedy decydujemy się wracać to postanawiamy znów skomplikować sobie zadanie.

Krótką sceną: Popołudnie w całkowicie bezludnych górach. Grupa turystów maszeruje po świeżych lawiniskach szerokości nawet stu metrów. Jeden z członków grupy trzyma się właściwej drogi. Ale widzi, że reszta oddala się coraz bardziej w niewłaściwym kierunku. Krzyczy: „CO WY ROBICIE?!”. Chwila ciszy i odpowiedź: „EKSPLORUJEMY!!!”. Koniec sceny.

Eksploracja, choć czasem na granicy ryzyka, była dopełnieniem dnia pełnego wrażeń. Od rana jesteśmy tylko my i ośnieżone szczyty. Pełnia szczęścia.

Wieczorem znów siedzimy przy ognisku. Suszymy buty, gotujemy wodę i parzymy jedną herbatę za drugą. Herbata chyba nigdy nie smakuje tak dobrze jak po zejściu ze szczytu.

Dzień 5

Rano zwijamy obóz i ruszamy samochodami na dół. W najbardziej przepaścistym miejscu nadjeżdża wojskowy jeep. Zjeżdżam tuż nad krawędź drogi. Uśmiechnięty kierowca jeepa wjeżdża dwoma kołami na stromy stok po prawej i mocno przechylony mija o włos nasze auto. Dalej jest już spokojniej. Zjeżdżając z góry łatwiej pokonać jest taki trudny teren niż kiedy podjeżdżaliśmy pod górę. Przy posterunku Strezimir z naprzeciwka nadjeżdża jeep z pracownikami parku i przewodnikiem. Mają do nas pretensje. Mówią, że nie możemy wchodzić na Korab bez przewodnika. Tylko że... trochę się spóźnili. Są bardzo niezadowoleni kiedy się dowiadują, że byliśmy już na szczycie. Pieniądze, jakie mogli na nas zarobić rozplynęły się w powietrzu wraz z kurzem spod naszych kół.

A nasze auta zmierzają już w kierunku Bułgarii. Zanim wrócimy w poniedziałek do pracy, w ciągu najbliższych trzech dni wejdziemy jeszcze na najwyższe szczyty Bułgarii oraz Serbii. Ale to już osobna historia.

– END –

Andora – Pico De Coma Pedrosa

Andora – Pireneje – Pico De Coma Pedrosa 2942 m. n.p.m.

03.09.2009

Andora – małe śmieszne państewko położone w Pirenejach. Danych szczegółowych z Wikipedii przepisywać nie będę. To co

chciałbym napisać to to, że nawet na najbardziej uczęszczanych szlakach może być pięknie, czysto i kulturalnie. Nie chcę czynić aluzji do Tatr (nie powinienem bo właściwie prawie ich nie znam), ale z tego co zdążyłem zobaczyć, to Pireneje to jest inna bajka.

Krótką geneza jak się tam znaleźliśmy:

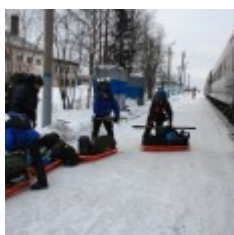
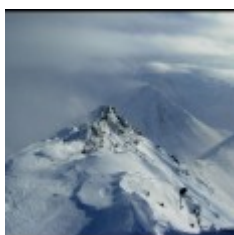
1. Moja żona z przyjaciółką postanawia zwiedzić Barcelonę.
 2. Oglądam film „Viki Christina Barcelona” i stwierdzam, że nie najlepszym pomysłem jest puścić je tam same.
 3. Decyduję się na dołączenie do ich wypadu ale modyfikuję trasę wycieczki starając się ominąć wszelkie morza kierując nas w góry.
 4. Nie udaje się to do końca. Lądujemy na plaży w Costa Brava. Dookoła geje. Nie przywykłem. Płaczę. Upijam się.
 5. Docieramy w Pireneje. Wchodzimy na Pico De Aneto (3404 m. n.p.m.). Aneta płacze. Upija się.
 6. Jedziemy do Andory. Państwo w 80% utrzymuje się z turystyki. Wspomagamy je kupując dwie bagietki.
 7. Idziemy na Coma De Pedrosa (2942 m. n.p.m.).
 8. Przyjaciółkę obcierają buty. Płaczę. Upija się.
- Czyli podsumowując: w Katalonii wino jest tanie i dobre.

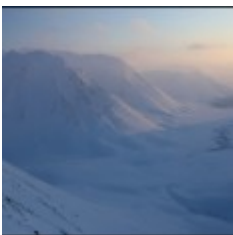
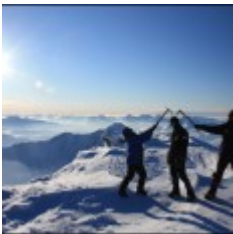
A nasza wycieczka wyglądała tak:

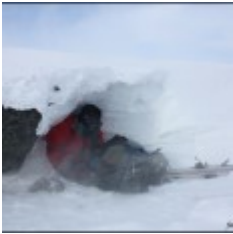
Z Arinsal wychodzimy dopiero wieczorem. Do zmroku robimy jedynie niewielki kawałek drogi jaki nas czeka. Namiot rozkładamy w lesie. Otwieramy wino. Jest pełnia, chcę porobić zdjęcia. Okazuje się, że zapasowy akumulator do aparatu jest zepsuty. Przejechać tyle kilometrów i nie mieć zdjęć z najwyższej góry Andory? Jest jedno rozwiązanie: wstaję o 6-tej, zbiegam do auta, zabieram ładowarkę, lecę z powrotem na górę, gotuję wodę, budzę dziewczyny, jemy śniadanie i idziemy dalej. Akumulator podładujemy w 15 minut w schronisku po drodze (jedynym płatnym schronisku w Andorze!). Potem człapiemy na szczyt. Trudności: brak.

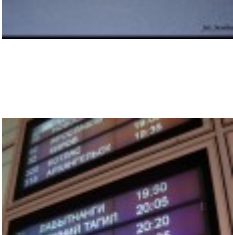
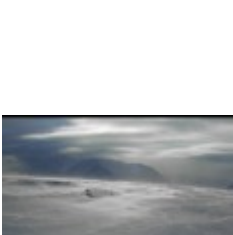
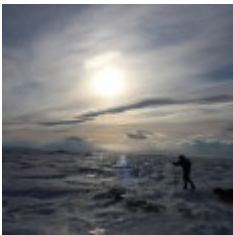
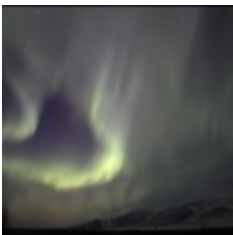
Ze szczytu kierujemy się jeszcze trochę na północ a potem na

zachód. Po co chodzić dwa razy tą samą drogą. Zrobimy pętlę. Na przełęczy rzucam plecak i wbiegam na lekko na szczyt Pic de Medécourbe – 2914 m. n.p.m. Na szczycie wbity palik. Palik wyznacza trójkąt trzech granic – Francji, Hiszpanii i Andory. Zbiegam, doganiam dziewczyny, schodzimy tak długo, aż znajdziemy miejsce na namiot. Rano schodzimy do samochodu. Jedziemy nad morze. Znow będę musiał się upić.









1	МОСКВА	18:35
2	ПОДГОРНЫЙ	18:35
3	РАДЫВАНОВИЧ	19:30
4	НИЖНИЙ ТАГИЛ	20:05
5	ВОЛГОДА	20:30
6	ЧЕРНОВЕЦ	21:05
7	ВЛАДИВОСТОК	21:25
8	ПЕКИН	21:35







Włochy – Monte Bianco

25.07.2009 – sobota – START

Po kilkunastu godzinach od wyjazdu z Wrocławia dojeżdżamy na parking w dolinie Val Veny. Już tutaj zastanawiające jest zaskoczenie pracowników parku, którzy wydają się pierwszy raz słyszeć, że ktoś chce od tej strony wchodzić na Monte Bianco i nie mają pojęcia gdzie tu można zostawić na kilka dni auta. Wiedzą tylko tyle, że auta mogą tu zostać od 8 do 23 a poza tymi godzinami są odholowywane. Chłopaki jednak zdają sobie sprawę, że w ciągu jednego dnia nie da się wejść i zejść ze szczytu więc dzwonią do swojego szefa po radę. Od szefa dowiadujemy się, że po godzinie 17-tej możemy przejechać przez szlaban i pojechać jeszcze kawałek drogą w kierunku jeziora Combal. Upewniają nas także, że jedyne schronisko znajdujące się na naszej drodze jest nieczynne. Po przepakowaniu się, już wieczorem, startujemy w górę. Droga niczym do Morskiego Oka. Szybko dochodzimy do baru przy jeziorze Combal. Tu rozkładamy namioty.

26.07.2009 – niedziela – MINUS 3 DO MORALE

Zasuwamy po kamieniach na lodowcu Miage. Plecaki nas przygniatają do ziemi. Ale przynajmniej widoki piękne. Dokoła jezory lodowców. Po paru godzinach stajemy w labiryncie szczelin. Poszliśmy za bardzo w prawo. Szlak prowadzi

gruzowiskiem bardziej po lewej stronie lodowca. Wtedy problem ze szczelinami jest naprawdę niewielki. Po przejściu lodowca wchodzimy w skały. Wąskie ścieżki, ekspozycja, łańcuchy i drabinki. Normalnie byłaby niezła zabawa, ale nie kiedy ma się na plecach wyładowany plecak. Dostajemy tak po dupie, że kiedy popołudniu dochodzimy do nieczynnego schroniska Gonella na wysokości 3071 m decydujemy się zostać na noc w oddanym do użytku schronie.

W ciągu dnia po drodze spotkaliśmy tylko dwie osoby. Był to przewodnik z klientem. Weszli oni na Mont Blanc drogą francuską i z niewiadomych przyczyn postanowili zejść na stronę włoską. Od przewodnika dowiedzieliśmy się, że szlak którym szliśmy do schroniska jest zamknięty (na dole były tablice informujące, że przejście grozi śmiercią), a szlak przez lodowiec Dome... właściwie to nie istnieje. Wszelkie opisy w książkach i zaznaczona trasa na mapie są zupełnie bezużyteczne. Przewodnik oznajmił również, że w życiu nie widział tego lodowca w tak złym stanie i że jedyna nasza szansa na jego przejście to uważne trzymanie się śladów, które tam pozostawił.

No i na koniec informacja odejmująca -3 od morale grupy: podobno w tym sezonie jesteście jedynym zespołem, który próbuje dokonać wejścia tą drogą.

27.07.2009 – poniedziałek – ZWIADY

Rano wychodzimy na rekonesans. Po śladach pozostawionych przez schodzących tędy wczoraj dwóch mężczyzn próbujemy pokonać lodowiec. Nie jest łatwo. Ich ślady już są poprzecinane szczelinkami. Okazuje się, że jest tak ciepło, że każdego dnia lodowiec wygląda inaczej. Niektóre szczeliny są tak wielkie, że trzeba iść od jednego brzegu lodowca do drugiego, żeby znaleźć przejście. Idziemy raz środkiem, raz lewym brzegiem, raz prawym. Klucząc w ten sposób posuwamy się uparcie do góry. Pamiętam sytuację, kiedy na wysokości ok. 3600 m. stanęliśmy, aby złapać oddech. Zacząłem się zastanawiać wtedy nad dziwną

barwą śniegu, na którym stałem. Odwróciłem się do Marcina i zdążyłem powiedzieć tylko: „-stoję na szczelinie”. W tym momencie jedna noga całkowicie zapadła mi się pod śnieg. Machnąłem nią raz i drugi. Pod spodem pusto. Wbijam czekan w stok po drugiej stronie i na czworaka wygrzebuję się na drugą stronę szczeliny. Marcin ostrożnie podchodzi do krawędzi: „-miałeś szczęście, ma z 10 metrów”. Potem, gdy wracaliśmy, miałem okazję się jej przyjrzeć. W tym miejscu była wąska, niemniej zaklinowanie się nogami lub tułowiem po chociażby dwumetrowym locie... obrażenia murowane.

Jakoś udaje nam się dotrzeć bezpiecznie na przełęcz. Tu, na wysokości 3850 m. npm. rozdzielamy się. Ja, Marcin i Tomek chcemy zbadać jeszcze fragment grani. Laura, Marek i Michał wracają do schronu.

Tego dnia pokonujemy jeszcze większość bardzo ostrej grani Bionnassay. Przekraczamy wysokość 4000 m. npm. i uznajemy, że jak na rekonesans to zrobiliśmy całkiem sporo. Przecież przed nami już tylko niewielki odcinek grani, potem tylko trawers Dome Du Gouter i nasza droga połączy się z drogą francuską. Dojście tu jednak zabrało nam tak dużo czasu, że nie mamy wątpliwości, że trzeba założyć jeszcze jeden obóz – na lodowcu.

28.07.2009 – wtorek – PAN STANISŁAW

Jeszcze w poniedziałek wieczorem Marek rezygnuje z dalszej walki o szczyt drogą włoską. Jakkolwiek skakanie przez szczeliny go nie złamało, to gdy zobaczył sfotografowaną przez nas grań to stwierdził, że to już zbyt duże ryzyko. I trudno mu się było dziwić. Do wtorku do rana z dalszej akcji zrezygnuje także Michał. A Laura... dłuuuugo bije się z myślami. Decyzję podejmuje w ostatniej już chwili, gdy właściwie z Marcinem i Tomkiem jesteśmy gotowi do wymarszu. Idzie z nami.

Dzielimy się zatem na dwa nierówne zespoły. Ja, Tomek, Marcin i Laura trzymamy się pierwotnego planu i ruszamy po raz

kolejny przez lodowiec. Marek i Michał – wcale nie mają zamiaru dać za wygraną. Pakują plecaki i ruszają na dół. Chcą jeszcze dziś przejechać do Chamonix, aby najpóźniej w czwartek spróbować wejścia na Mont Blanc drogą francuską.

A my, już po raz trzeci toczymy walkę z lodowcem, który zdążył przez noc przygotować sporo niespodzianek. Przekraczanie nowych szczelin właściwie już nikogo specjalnie nie dziwi. Kluczając, omijając i przechodząc po zmrożonych jeszcze o tej porze mostach śnieżnych, po niecałych 4 godzinach docieramy na wysokość 3700 m. gdzie postanawiamy rozbić namioty. Chłopaki szybko rozkładają swój mały, ekspedycyjny namiot. Mi i Laurze idzie trochę gorzej. Nasz namiot przeznaczony jest raczej na działkę w bezwietrzną pogodę i niewielkie nawet podmuchy wiatru przygniatają go do ziemi. Wspólnymi siłami przymocowujemy go do podłoża. Laura – nie wiem skąd brała na to siły – uparła się, żeby zbudować wokół namiotu mur chroniący przed wiatrem. Kiedy już skończyliśmy z murkiem Laura wymyśliła, że trzeba ulepić bałwana. I tak powstał Pan Stanisław. Na wygłupach ze Staśkiem zleciał nam czas do wieczora. Humoru nie psuło nam nawet to, że czasem koło namiotu dziwnie zapadła się cała noga w pustkę pod śniegiem...

29.07.2009 – środa – ATAK SZCZYTOWY

O 3-ciej nad ranem wychodzimy w kierunku szczytu. Szybko wchodzimy na przełęcz. Potem wspinaczka po skałach a następnie pokonywanie – okrakiem lub idąc i balansując ciałem – ośnieżonej, niesamowicie ostrej grani. Większość tej drogi w zupełnych ciemnościach. Wraz z powolutku wstającym świtem z kierunku Mont Blanc nadjeżdża narciarz. Przejeżdża koło nas zaledwie parę metrów poniżej grani, i po niesamowitej wręcz pochyłości sunie na dół, gdzie tylko przepaść i lodowiec. Zniknął nam z oczu. Pomyślałem, że to samobójca. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że nie tylko przeżył ten zjazd, ale wcześniej zjechał z Dufourspitze, a z Mont Blanc natychmiast zostanie przetransportowany helikopterem na szczyt Matterhorn, aby zakończyć ten szalony projekt. Projekt zjechania na

nartach z tych 3 szczytów w ciągu... 24 godzin.

Ale wracając do naszej wyprawy, powolutku, krok za kroczkiem posuwaliśmy się do góry. I tak przez kolejne kilka godzin. Najpierw tylko w towarzystwie naszej skromnej grupki, potem – powyżej 4300 metrów – kiedy nasza droga połączyła się z drogą francuską – w tłumie ludzi.

Ok. godziny 10:30 stajemy na szczycie. Tu Laura wysłała ostatniego smsa ze swojej komórki, gdyż ta wymyka się jej z kieszeni i sunie w dół po stromiźnie. Widzi to litewski przewodnik. Łapie za dziabę i biegnie w dół torem spadającego telefonu. Pół godziny później wraca z... batonikiem. Telefonu niestety nie znalazł. Laura na pocieszenie dostaje owoc misji ratunkowej – czeski batonik. Jakby tego było mało – jeden z członków innej grupy zdobywców Mont Blanc wystawia tyłek i zaczyna robić na szczycie kupę. Laura zamiera w pół gryza pysznego jabłka. Oddaje mi go. Mówi, że to ostatnie jabłko w jej życiu.

Czas schodzić. I znów to mozolne przebieranie nogami. Co z tego, że w dół, kiedy jesteśmy dużo bardziej zmęczeni. Coraz większy upał, coraz gorszy śnieg. Problemy na grani, śnieg lepi się do raków. Jest niebezpiecznie, do tego dochodzi skumulowane z kilku dni zmęczenie. I tylko jedna myśl: żeby już się położyć w namiocie. No właśnie... w kwestii namiotów. Przyglądając się im gdzieś z wysokości 4000 metrów można było się mocno zaniepokoić. Z takiego dystansu śnieg wokół nich wyglądał jakby wszędzie po spodem były szczeliny. Kiedy dowlekamy się do nich, przed nami ciągle jeszcze kilka godzin upału. Leżymy nieruchomo. Zdajemy sobie sprawę, że lepszego miejsca na namiot w okolicy nie ma. A schodzić w takich warunkach także nie ma sensu. Wszystko wokół się zapada. Musimy poczekać do rana. Wtedy po zmrożonym śniegu uda nam się bezpieczniej dotrzeć do schronu. Nie wiemy wtedy jeszcze, że przyszła taka odwilż, że nawet tu na wysokości 3700 m. temperatura nawet w nocy nie spadnie ani na chwilę poniżej zera.

Wyczerpani leżymy i czekamy na dający ulgę cień. Taka wegetacja trwa do nocy. Albo śpią albo po prostu leżą nie mając ochoty na najmniejszy nawet ruch. Dopiero kiedy budzę się o 23-ciej, czuję, że jestem całkiem dobrze zregenerowany. Wychodzę z namiotu i niepokój ogarnia mnie na dobre. Okazuje się, że jest bardzo ciepło. Dookoła rozlegają się odgłosy zapadającego się lodowca. Powyżej nas wytapiają się i sypią lawiny kamieni. Niektóre z nich dotoczą się na kilkanaście kroków od namiotów. Poniżej – czyli na naszej trasie – ciągle słyszeć jak coś się obrywa i wali. Z nadzieją, że nad ranem jednak będzie chociaż minimalny mróz kładę się spać.

30.07.2009 – czwartek – NAJLEPSZY PRYSZNIC W ŻYCIU

O 6-tej rano ruszamy by już po raz ostatni pokonać drogę przez lodowiec. Mrozu nie było. Nogi zapadają się w brei od pierwszych kroków. Lodowiec wygląda zupełnie inaczej niż ten sprzed zaledwie paru dni. Mamy jednak tę przewagę, że idziemy tędy czwarty raz, i do tego schodzimy, a schodząc łatwiej jest w razie czego wypatrzyć z góry nową drogą. Skupieni przechodzimy kolejne odcinki. W którymś momencie przy zeskakiwaniu z górnej wargi szczeliny pochylam się za bardzo do przodu i lecę głową w dół tocząc się po kamieniach. Szarpię za sobą Laurę. Obydwójgu udaje nam się jednak zatrzymać. Laura jest o krok od górnej krawędzi szczeliny, która jest w tym miejscu mocno wypłycona, jednak niekontrolowane loty przez nią niekoniecznie mogły się dobrze skończyć. Dochodzimy do ostatniego z takich kluczowych miejsc. Jest to największa na tej trasie szczelina. Szeroka na kilka metrów, głęboka momentami tak, że dna nie widać, i ciągnąca się w poprzek przez całą szerokość lodowca. A na jej drugim brzegu widzimy... czterech Anglików. Mimo pełnego oszpejenia i wyglądu zaprawionych w boju alpinistów mężczyźni klęczą od dłuższej chwili na brzegiem szczeliny. Bezradnie rozglądają się na lewo i prawo, lub po prostu zaglądają w zimną czeluść. Nie próbujemy jeszcze nawiązać z nimi kontaktu. Jesteśmy mocno skoncentrowani na tym, by znaleźć się po drugiej stronie tej

lodowej przepaści. Jeszcze w poniedziałek obeszliśmy ją bez większych problemów z jednej strony. We wtorek przekroczyliśmy ją po sporym polu śnieżnym, który zmrożony po prostu wisiał w powietrzu nad szczeliną. Teraz jednak obejście jest mocno popękane a most musiał siść w nocy zawalić. Po kilkunastu minutach wychodzimy jednak szczęśliwie koło ostatniego trasera pozostawionego przez Anglików. Po tym co zobaczyli oraz po rozmowie z nami nie są pewni czy wejście drogą włoską jest możliwe. Schodząc widzimy, że tkwią ciągle w tym samym miejscu. Decyzję pomaga im podjąć huk pękającego i spadającego gdzieś w okolicy fragmentu lodowca. Kilkanaście minut po nas są już w schronie i pakują sprzęt. Gratulują nam. Oni co najwyżej spróbują wejść normalną drogą od strony francuskiej. Myślę, że na ich miejscu zrobiłbym to samo. Można wprawdzie stwierdzić, że jakaś droga przez lodowiec się przecież zawsze znajdzie, ale to wszystko zabiera zbyt dużo czasu i sił, żeby jeszcze tego samego dnia zdobyć szczyt i wrócić, a noclegu w takich warunkach nikomu nie życzę.

Na szczęście to już za nami. Teraz tylko bezpiecznie zejść po skałach na morenę lodowca Miage, po której czeka nas długie człapanie do jeziora Combal.

W czasie kiedy my kończąc naszą przygodę zbliżaliśmy się do cywilizacji, Marek i Michał walczyli z drogą Gouter. I bynajmniej nie można tego nazwać pójściem na łatwiznę. Przecież jeszcze dwa dni wcześniej byli powyżej 3000 m. po włoskiej stronie. Samo dotarcie pod schronisko Tete Rousse, skąd zaczynali atak szczytowy, wymagało od nich pokonania sporych przewyższeń i konkretnego wysiłku.

A to, czy faktycznie nasza czwórka jako jedyna w tym sezonie pokonała „Drogę Papieską”? Nie wiem, ale nawet jeśli nie, to na pewno byliśmy jednymi z nielicznych.

Moim zdaniem poza wszystkim tym co sami włożyliśmy w tę wyprawę aby się udała, kluczem do sukcesu były dwie sprawy niezależne od nas. Pierwsza to pogoda, o której byliśmy na

bieżąc informowani smsami przez nieocenioną Anetę. Dzięki tym informacjom mogliśmy dopasowywać plan działania do istniejących warunków. A druga sprawa to ślady pozostawione przez schodzącego tamtędy w niedzielę przewodnika. Pokonanie lodowca za pierwszy razem – właśnie po tych śladach – dodało nam pewności siebie i pozwoliło na samodzielną walkę w dniach kolejnych.

Przygoda zakończona. Udajemy się na pole namiotowe. Czas na prysznic – pierwszy od tygodnia. Najlepszy prysznic w życiu.

-END-

Dziku

Bośnia i Hercegowina – Maglić

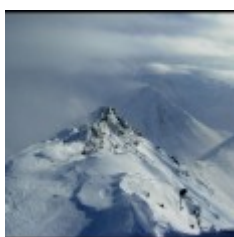
Cel – Maglić (2386 m n.p.m.) – zdobyty

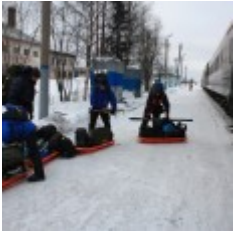
Kiedy – czerwiec 2009

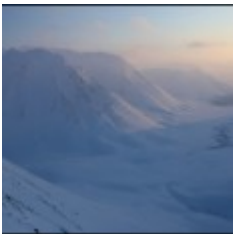
Kto – Dziku & Marek & Ola & Łukasz

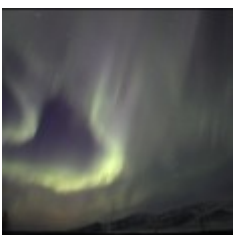
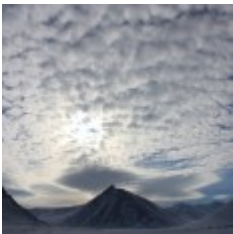
Tekst– Dziku

Zdjęcia– Dziku & Marek & Ola & Łukasz









A photograph of a digital display board at a train station. The board lists train numbers and their departure times. The text is in Russian. The board is divided into two sections: the top section shows train numbers and times, and the bottom section shows train names and times.

10	19:30
11	19:35
12	19:40
13	19:45
14	19:50
15	19:55
16	20:00
17	20:05
18	20:10
19	20:15
20	20:20
21	20:25
22	20:30
23	20:35
24	20:40
25	20:45
26	20:50
27	20:55
28	21:00
29	21:05
30	21:10
31	21:15
32	21:20
33	21:25
34	21:30
35	21:35







Pomysł z wypadem do Bośni chodził mi po głowie od kilku miesięcy, ale wypalił dopiero w długi weekend czerwcowy. I dobrze, widać tak miało być. Bo przez całą wycieczkę wszystko układało się wg scenariusza, którego nawet nasze zryte umysły nie były w stanie wymyślić.

Cel był jasny: najwyższy szczyt BiH – Maglić (2386). W przypadku gdyby starczyło czasu braliśmy pod uwagę możliwość „zaliczenia” (inaczej tego się nie da nazwać) najwyższej góry Węgier – Kékes (1014 m). Trudno było jednak coś przewidzieć. Czekwały nas 2 doby w aucie i 2 doby w górach. Niby to „tylko”

ok. 1300 km od Wrocławia, ale czasem trzeba zatankować, czasem coś zjeść, a i na granicach zdarza się, że się godzinę straci. Od razu wskazówka dla wybierających się w tamte rejony: zielona karta i paszport obowiązkowe (2009 rok).

Środa 10 VI

Popołudniu Ola wyjeżdża (prosto z pracy) z Łodzi i przed godziną 22:00 wjeżdża przez pole maków (zasługa Kasi – naszej nawigacji) na Psie Pole we Wrocławiu. Wsiadam ja, potem wsiada Łukasz i za chwilę tniemy do Nysy po Marka. Ok. godz. 23:30 jesteśmy w komplecie. Ruszamy w drogę na Bałkany.

Czwartek 11 VI

Co by nie przedłużać to zastosuję tutaj skrót myślowy, czyli (...), i mniej więcej po 24 h wysiadamy z auta w miejscu skąd będziemy rano atakować Maglić. Koniec skrótu myślowego.*

*Dziku'2016: tym samym pominąłem przygodę z napotkanym leśnym biegaczem, ale nadrabiam emitując po latach ten materiał (proszę włączyć abstrakcyjne myślenie, albo najlepiej wyłączyć je całkiem):

Piątek 12 VI

Rano budzimy się w Puszczy Perućica. Zrobiła ona na nas spore wrażenie, należy się jej akapit.

Puszcza ta, podobno największa górską i ostatnia dziewicza puszcza w Europie, położona jest na terenie BiH w Parku Narodowym Sutjeska. Niesamowity, niedotknięty działalnością człowieka górski teren pokryty drzewami o wysokości dochodzącej do 60 metrów, pełen wilków i niedźwiedzi (ale my spotkaliśmy tylko jelonka), robi potężne wrażenie.

Jeśli kiedyś będziecie wchodzić na Maglić – nie próbujcie skracać drogi podjeżdżając pod szczyt autem, tylko zróbcie sobie sobie 3 godzinną przeprawę przez Perućicę. Jak już tak sypię w tej relacji wskazówkami to napiszę jak tam trafić: od

miejsowości Foca kierujemy się drogą na południe. Po jakichś 20 km (jeszcze przed Tjentište) skręcamy z asfaltówki w lewo na Dragos Sedlo. Teraz 12 km powolutku przez las i jest wypłaszczenie z drogowskazami. Stąd jeszcze 150 m drogą (na Prijevor) i po lewej mamy kamienny krąg a powyżej niego wiatę, zaś po prawej – schodząc po schodkach widzimy pomnik i źródółko. To właśnie tu, koło źródółka, zaczyna się oznaczona białą czerwonymi kółkami ścieżka przez las. Znaki są (na razie) namalowane naprawdę gęsto i docieramy dzięki nim do rozstaju dróg. Tu jeden namalowany szlak skręca w prawo, w dół. Natomiast drugi (na drzewie jeśli dobrze pamiętam napisane cyrylicą, że to droga na Prijevor) skręca w lewo, w górę, ale szybko znika – najpierw szlak – a momentami i ścieżka. Ale to właśnie nią należy iść.

Wróćę do tego jak to wyglądało u nas: Mieliśmy spore wątpliwości czy dobrze idziemy. Nijak się nic nie zgadzało z relacją, którą miałem ze sobą. Wychodzimy na wzgórze, z którego możemy zaobserwować całą okolicę, czytamy opisy, oglądamy wydrukowaną mapę, i stwierdzamy, że to nie tędy, że droga na szczyt prowadzi na pewno grzbietem górskim daleko stąd – na prawo od nas. Potem jesteśmy już pewni, że droga na szczyt jest jedna i znajduje się na grzbiecie górskim... na lewo od nas. A skoro ta jedyna droga jest gdzieś daleeeeko na prawo, no chyba że na lewo, to w takim razie będziemy nieugięci i będziemy pruć przez puszcę przed siebie. W tym akurat przypadku teoria, że należy trzymać się raz podjętej decyzji sprawdziła się. Wychodzimy z lasu w miejscu zwanym Prijevor, a przed nami już tylko szczyt.

Znów zaczyna się znakowany szlak. Zasuwamy na górę. W pośpiechu w pewnym momencie spuszczałam lawinkę kamieni, które śmigają koło Marka. Powinniśmy mieć kaski bo szlak robi się naprawdę stromy a skała krucha. Piarżyska się kończą a przed nami stroma ściana. Kijki lądują w plecaku i zaczyna się łatwa, przyjemna, ale nie do końca bezpieczna wspinaczka. Lecę na górę jak nakręcony, wychodzę tuż pod szczytem, wbiegam na

niego, dotykam bośniackiej flagi, uf, udało się. Wracam zobaczyć co z Olą, Markiem i Łukaszem. Są już blisko końca ściany, pokonują ostatnie metry i już razem wychodzimy na szczyt, gdzie wyciągamy... uroczystego serbskiego melona. Na szczycie ciepło, bezwietrznie, po prostu idealnie.

Czas na kolejny skrót myślowy: schodzimy na dół. Tym razem po zejściu ze ściany podążamy w prawo – i zamiast lasem idziemy 8 km drogą do miejsca skąd zaczynaliśmy – z kamiennym kręgiem, wiatą i źródłem.

Rozkładamy namiot znów w tym samym miejscu, tzn. po środku tego kręgu. Jeszcze tylko obowiązkowo butelka wina dla uczczenia dnia i śpimy.

Sobota 13 VI

Rano wychodzimy z Dragos Sedlo na punkt widokowy na 80 metrowy wodospad Skakavec. Szkoda, że nie starczyło nam czasu na udanie się pod wodospad, ale trzeba było wybierać. My zgodnie stwierdziliśmy, że skoro tak fajnie poszło nam z Magliciem, to pojedziemy jeszcze do stolicy BiH – Sarajewa.

Parkujemy w centrum i zaczynamy zwiedzanie. Planowaliśmy spędzić tam od 1 do maks 3 godz., ale wyszło trochę inaczej. Oglądamy targowisko pełne pięknych rękodzieł. Ola fotografuje wystawy, Marek fotografuje dziewczyny, generalnie wszyscy szczęśliwi. Cóż, centrum Sarajewa jest urocze ale przed nami przecież długa droga więc po 2 godz. decydujemy się wrócić do auta. Ale do niego nie doszliśmy. Przy kawiarnio-księgarni słysząc polski język zaczepia nas ks. mjr Jerzy Niedzielski – kapelan wojskowy polskich sił EUFOR w Camp Butmir- bazie wojskowej koło Sarajewa. Z tego co się dowiedzieliśmy to to raczej nie pierwszy raz, kiedy ks Jerzy zaczepia na ulicy różnych ludzi, i dzięki mu za to! Wprawdzie w pierwszej chwili przychodzi mi na myśl, że może to jakiś naciągacz, ale towarzyszącemu mu żołnierzowi – Markowi ze Zgorzelca – dobrze z oczu patrzy. Więc usiedliśmy na chwilę. I tu ks. Jerzy całkowicie przejmuje inicjatywę. To dzięki niemu lądujemy w

Caravanseraï, gdzie oglądamy i dotykamy dywanów, których wartość sięga nawet 25 tys. zł. Dzięki niemu również poznajemy aktora z filmu Kusturicy nagrodzonego złotą palmą Cannes. A potem... to już zupełnie czujemy się jakbyśmy śnili. I nie chodzi o to, że możemy skorzystać w mieście z publicznej toalety – najstarszej chyba w całej Bośni (uruchomiona w roku 1530), lecz...

Wieczór spędzamy w przemiłym, niesamowitym towarzystwie ks. Jerzego, żołnierza Marka, sekretarza Nuncjusza Apostolskiego – ks. prałata Waldka, dr Ewy Klonowski oraz jej męża – Ireneusza.

O dr Ewie Klonowski chciałoby się powiedzieć, że można by książkę napisać. Tylko że... została już o Niej nie tylko napisana książka ale i również nakręcony film. W rolę Pani Ewy w filmie „Rezolucja 819” (z muzyką Ennio Morricone) wcieliła się Karolina Gruszka, natomiast książka autorstwa Wojciecha Tochmana nosi tytuł „Jakbyś kamień jadła”. Dr Ewa to światowej sławy antropolog, która (wcześniej m.in. na zlecenie Międzynarodowego Trybunału z Hagi) własnymi rękoma wyciąga z masowych mogił i składa tysiące ludzkich kości. To dzięki niej, po dokonaniu testów DNA, wiele rodzin może dokonać pochówku swoich najbliższych zaginionych i zamordowanych np. podczas wojny w latach 1992-1995.

W tak znakomitym towarzystwie, na tarasie na wzgórzu z widokiem na rozświetlone Sarajewo siedzimy do nocy. Potem zostaliśmy odprowadzeni na parking gdzie się pożegnaliśmy.

Wrażenia z tych dwóch dni przekroczyły wszelkie oczekiwania. Szczęśliwi, ale jednocześnie z żalem, że nie możemy zostać w Bośni i Hercegowinie dłużej, kierujemy się w kierunku granicy z Serbią.

Czas na kolejny skrót myślowy: [[SKRÓT](#)]

– END –

Finlandia – Halti

Cel – Halti (1328 m n.p.m.) – niezdobyty

Kiedy – maj 2009

Kto – Dziku & Marcin & Ala & Marek & Aga & Dagmara & Łukasz & Ewa

Tekst– Dziku

Zdjęcia – Ala & Dziku & Marek & Łukasz

Halti leży daleko za kołem podbiegunowym, na samym koniuszku tego „kciuka” który się wrzyna w terytorium Norwegii. Jest to góra o kilku wierzchołkach, nas interesował ten mierzący 1324 m npm gdyż to on jest najwyższym punktem Finlandii. Na Halti weszliśmy od norweskiej strony. Nie było innego wyjścia, gdyż był zbyt napięty grafik wycieczki. Bo żeby wejść od strony fińskiej trzeba iść na szczyt 55 km w jedną stronę. Potrzebowalibyśmy na to kilku dni i sporo cierpliwości. A cierpliwość po to żeby się nie irytować kiedy Finowie będą nam się pukać w głowę i pytać gdzie narty zgubiliśmy. A od strony norweskiej zajęło nam to jeden dzień. Ale łatwo nie było. Po kolei:

Z planu dojechania autem pod samą górę nic nie wyszło bo o tej porze roku leży tam mnóstwo śniegu. Rozbijamy zatem obóz przy pierwszej zaspie na drodze. Rano, koło 8:30 ruszamy w drogę. Pewni siebie, bo po szwedzkiej zadymie co to takie Halti – pikuś.

No i maszerujemy w pustkowia. I co? I okazuje się, że z każdym kilometrem morale spada. Na dodatek obieramy zły kierunek i idziemy dodatkowe parę kilometrów prosto w... nazwaliśmy to „Masywem Białej Dupy”. A w tym masywie nie ma gór. Jest tylko

pustka, paliki i ślady po skuterach śnieżnych. Tak nas to urzekło, że trochę czasu minęło zanim się opamiętaliśmy. Najtrafniej ujął to Marek: „Po co my tam szliśmy? Przecież to było widać, że tam nie ma gór”.

I tu grupa, która po wrażeniach z całokształtu wycieczki nie potrzebuje już człapać na ten fiński pagór stwierdza, że sobie go należy odpuścić. Nie ma się co dziwić, to co dotychczas zobaczyliśmy sprawiło, że szczyty – wcześniej główne cele – stały się jakby dopełnieniem wycieczki. Mimo to stanęliśmy, obejrzeliliśmy widoczny na horyzoncie masyw (już ten właściwy), który oczywiście szlag by to trafił w większości chował się w chmurach, stwierdziliśmy, że baterie w GPSie pwinny wytrzymać jakąś ilość uruchomień, choć na chwilę, żeby odnaleźć właściwy kierunek i... ruszamy „na strzałkę”. My tzn. Ja, Marek i Łukasz. Chcemy powalczyć do ostatniej kropli herbaty w termosie. A w ogóle to się okazało się, że rakiety dodają mi +4 do obrony przed śniegiem, Łukasza różowy termos dodaje +4 do ochrony przed zimnem, a Marka przemoczone i teraz zamrożone na kość buty dodają +6 do walki z Finami na biegówkach.

Pewni siebie tniemy prosto w kierunku góry, po śniegu, po zamarzniętej tafli jeziora, po kamieniach, aż dochodzimy do chatki, z której właściwie dopiero zaczyna się podejście pod górę. Tu naszą grupę podstępnie rozbija kubek kawy, który powoduje, że w minutę po jego wypiciu łapiemy za chusteczki, rozbiegamy się bez słowa w 3 strony świata i nie wiemy czy się jeszcze zobaczymy. Na szczęście 10 minut później znów w komplecie siedzimy w chatce.

Po odpoczynku ruszamy na górę. Wkrótce brniemy na oślep w chmurze. Co jakiś czas uruchamiamy na chwilę GPS i sprawdzamy kierunek marszu. Po paru godzinach trafiamy w miejsce które wg współrzędnych spisanych jeszcze w domu z internetu powinien być fiński wierzchołek Halti. Niestety widzimy tylko postawiony pionowo kamień. Przez moment jeszcze łudzę się, że jest to oznaczony właściwy wierzchołek, ale trącony przez Marka kamień zakolebał się i okazał się zupełnie zwykłym

kawałkiem skały. Naszła mnie myśl, że jeśli tak oznaczyli najwyższy szczyt Finlandii to ja sobie ten szczyt mogę na upartego do domu w plecaku zabrać.

Porobiliśmy sobie zdjęcia przy tym kamieniu. Na każdym zdjęciu pogrzebowa mina. Potem na wszelki wypadek sfotografowaliśmy inne kamienie w okolicy. Nie wiem po co, teraz mi nawet trochę wstyd jak sobie przypominę jak łąziłem i klikałem foty każdemu kopczykowi. Z opuszczonymi głowami trzymamy się pilnie naszych śladów i wracamy. Widoczność zaledwie na kilkanaście kroków. Marek, podobnie jak i my pogodzony z klęską wrywa do przodu i zauważamy, że po paruset metrach gubi ślady. A my zamiast krzyczeć idziemy posłusznie za nim. No i Marek sam nie wie czemu tak szedł, ale ważne, że usłyszeliśmy z mgły krzyk „HAAALTII!”. Dołączamy do Marka i już z triumfującymi minami klikamy sobie grupową fotę w najwyższym punkcie Finlandii.

Nie przeszkadza nam, że jest już 18:30 a przed nami co najmniej 20 parę km marszu. I tak jest jasno całą dobę. Odszukujemy nasze szczęśliwie zgubione ślady i okazuje się, że wcześniej przeszliśmy jakieś 50-70 metrów od wierzchołka. Lecimy na dół, znów posiłek w chatce i wzdłuż jeziora w świetle księżyca zasuwamy do namiotów. O 0:30, po 16 godzinach i pokonanych w tym czasie co najmniej 45 km drogi wróciliśmy do obozu.

Dziku

– END –

